ROK WYDAWNICTWA SZÓSTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 kwietnia 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
67 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka·

JÓZEF PŁOŃSKI

W NIEWOLI TRZECIEJ RZESZY

Praga, w kwietniu

WOJSKA NIEMIECKIE WKRACZAJĄ DO PRAGI

Co za planowość, jakaż to magja kalendarzowych dat, chiromantyka, fantazja, dynamika! Mapki propagandowe hitlerowców zapowiadały już od roku etapy „reorganizacji" naszego kontynentu wedle sezonów i mniejwięcej tak: idy marcowe i wrześniowe są miesiącami niemieckich dokonań! I „rzeczywiście" — od roku to jakoś wychodzi! Napróżno usiłują zastraszeni hitlerofobi wymyślić jakieś mistyczne kontrdaty — czary nie udają się. Natomiast Niemcy pewnych „geopolitycznych" miejsc zamieszkania wykrzykują perjodycznie na tygodnie zgóry „Heil März" — i rzecz gotowa, ponieważ nic w życiu nie jest tak pewne, jak kalendarzowe następstwo czasów. Nie, niema ucieczki przed subtelnie rozplanowanym dynamizmem Rzeszy, mistyczny kurjer zwycięstw bez przelewu krwi pędzi przez Europę i zajeżdża bez spóźnienia wedle zgóry ułożonego rozkładu jazdy do punktów „reorganizacyjnych". Magja.

W Bernie Morawskiem wykrzykiwali studenci niemieccy już od tygodni „Heil März" i z początkiem id marcowych spłynęły szpalty dzienników hitlerowskich krwią niewinnych ofiar terroru czeskiego a Słowacy przystąpili do zdecydowanej „rewolucji narodowej". Kapitulanci prascy byli również gotowi pod każdym względem.

Gdy rankiem dnia 15 marca wtaczały się na ulice Pragi pierwsze czołgi i auta pancerne niemieckiej armji okupacyjnej, natrafiły na brodzących w szarudze ludzi oszołomionych i niedowierzających prawdzie oczu. Bo to wszystko zakrawało na koszmar, bo rzeczywistość nie porozumiewała się jeszcze z warstewkami uczuć i myśli dnia wczorajszego. A jeszcze dziwniejsze były te jasnoczerwone płótna z czarnem godłem Magji, które wypryskiwały z okien Niemców jak przekorne języki — lub drobne grupki młodzieży niemieckiej w czarnych płaszczach gumowych, przebiegające czeskie miasto z frenetycznem wołaniem... Najdziwniejsi i zgoła niezrozumiali byli jacyś ludzie we fragmentach mundurów, w białych opaskach z hieroglifem rózgi liktorskiej na ramieniu, uwijający się u czoła wdzierających się w spokojne ulice kolumn. To przecież byli Czesi i to wydawało się rzeczą niemożliwą.

W pewnych momentach chyżość myśli nie dorówna wpełzającemu powoli czołgowi, który oznacza dokonywający się fakt. A fakt ten zmienia rzeczywistość. Czesi nie byli przygotowani, jakkolwiek dnia wczorajszego wyczytać mogli w gazetach, że prezydent Hacha udał się do Berlina. Ale jeżeli udał się dopiero o godzinie 16 — więc był tam przecież jeszcze! A tu już były wojska pancerne!?

Legendy, które zabarwiają litościwie zbyt szarą jakoby rzeczywistość arabeskami fantazji, opowiadają o aktach oporu i bohaterstwa wśród zaskoczonych Czechów. Prawda była uboższa. Wprawdzie tu i ówdzie zaciskały się pięści, wprawdzie w dwóch czy też trzech punktach granicznych doszło do drobnych utarczek z oddziałami czeskiemi, ale wmarsz wojsk niemieckich odbył się nagół w zupełnym spokoju. Nie było więc walki powietrznej nad Kolinem i nie było tej dziewczyny, która z okrzykiem: „Ulica jest jeszcze wolna" — rzucić się miała z okna pod gąsienice wjeżdżającego tanku. Lecz w Kładnie wylegli robotnicy hut i kopalń tłumnie na miasto i powitali maszyny niemieckie niemą demonstracją, odwracając się do nich plecami.

Nie, Czesi nie bronili się a nawet już nie mieli łez, pogardy i wściekłości. Okazali się znowu „realistami" — za wiele razy ich zaprzedano, zdradzono i oszukano w tak krótkim, niesamowicie dramatycznym czasie. Czesi byliby walczyli na swoich barykadach, Czesi chcieli się bronić, łaknęli bohaterstwa. Lecz barykady czeskie zostały ewakuowane.

O BARYKADACH EWAKUOWANYCH

Dzieje czeskie to właściwie historja barykad. Każde miasto czeskie a zwłaszcza Praga, to barykady żywych kamieni najbardziej dziś na zachód wysuniętego plemienia słowiańskiego. Czesi, dobrze osadzeni w swej naturalnej fortecy górskiej, chroniącej kraj piękny i bogaty, tworzyli historję i byli nawet często jej podmiotem. Bo w zderzeniu dwóch przeciwieństw, w produkcji cywilizacyjnej, w której łamał się i ostrzył element słowiański w walce z naporem niemieckim, znaleźli się na przełomie czasów nowożytnych w sytuacji niezwykłej, rokującej narodowi jak najlepsze nadzieje. Głośno było wówczas w Europie o husytach czeskich a pięć potężnych krucjat, organizowanych przez cesarza i papieża, rozbiło się o puklerze taborytów.

Czeska historjografja mieszczańska kreśli zazwyczaj dzieje najwznioślejszej karty historji czeskiej piórem, zanieczyszczonem względami polityki aktualnej i klasowej. A przecież tylko ten okres historji tłumaczy, jak Czesi zdołali przetrwać klęskę Białej Góry, która nastąpiła w 200 lat później. Klęskę tę zgotowało zwycięstwo panów i patrycjuszów czeskich, wespół z kościołem i cesarzem, nad „kacerskim" ludem czeskim pod Lipanami, w roku 1434. Bo kacerstwo taborytów wyrażało i żywiło postępowe siły ludu, walczącego na 100 lat przed niemiecką wojną chłopską z feodalizmem, o sprawiedliwość społeczną i o ojczyznę ludową bez panów duchownych i świeckich.

W 200 lat później przepłaciła szlachta czeska ówczesne swe zwycięstwo nad ludem własną egzystencją. Po Białej Górze i po Wojnie Trzydziestoletniej została doszczętnie wytrzebiona. Krótkowzroczność klasy panującej powtarza się w historji ludzkości wielokrotnie — dzieje narodu polskiego mogą być najlepszym przykładem.

Również i lud czeski był zdziesiątkowany. Poddany podwójnemu uciskowi, opuścił barykady, cofnął się na wieś, stał się ludem chłopskim. Ale tradycja taborów, tradycja ruchomych barykad „bożych bojowników" utkwiła głęboko w świadomości narodowej Czechów. Ich tragedją jest to, że nigdy nie mogli skutecznie obronić swoich barykad. Gdyby było inaczej, staliby się Niderlandami Europy środkowej.

Czeskie legjony syberyjskie, przebijające się przez zrewolucjonizowaną Rosję do ojczyzny, były w dużej mierze odbiciem taborów husyckich. Narodowo-wyzwoleńcze i wcale czerwone legjony czeskie zostały wprawdzie haniebnie wyzyskane przez Ententę dla celów interwencyjnych, ale gdy ukończyły swoją głośną anabazę i powróciły przez kontynenty i morza do kraju, były jeszcze ciągle radykalne i taborckie. Repatrjacja tych narodowych bojowników odbywała się przeto haustami, bo w Czechach zakładali już nowi panowie czescy państwo na swoją modłę. Mieli dość radykalizmu w kraju.

Genjusz mieszczański Masaryka nie potrafił przeciwstawić się ideologji nowych panów czeskich. Tworząca się republikę zaprzągnięto w rydwan imperjalizmu francuskiego i pozwolono, aby stała się żandarmem sojuszniczym, pilnującym Węgier, Austrji i Niemiec, stroniącym od Polski. Nowi panowie czescy zagarnęli podstępnie część Śląska, wkroili się głębiej, aniżeli było trzeba, w ziemie węgierskie i niemieckie, marzyli o dalszych zdobyczach, władali przez 20 lat Słowaczyzną jak krajem półkolonjalnym.

Lud Czechosłowacki otrzymał ustrój demokratyczny — tego mu nowi panowie odmówić nie śmieli. Odjęli jednak co mogli. Demokracja czeska nie nawiązała niestety do swojej własnej tradycji ludowej, lecz do demokratyzmu staroaustrjackiego. Wywodził się stąd administracyjny i biurokratyczny charakter demokracji czechosłowackiej. Dla panów baronów cukrowych było nawet i tego za dużo, na codzień społeczeństwu to jednak wystarczało, w chwili krytycznej demokrację skneblowano.

Bo nawet i tę, obciążoną pierworodnym grzechem demokrację, stać było na niejedno. T. zw. mniejszości uzyskały bardzo szerokie uprawnienia i to nie tylko na papierze. Zapędy czechizacyjne trwały jednak, chociaż Praga może nie zawsze o tem wiedziała. Była to polityka nowych panów czeskich. Dusili oni poszczególne narodowości tak długo aż powiał nowy wiatr znad Sprewy. A gdy to się stało, panowie gotowi byli zaraz oddać więcej aniżeli trzeba było... Niemcom.

Przedewszystkiem skrępowano demokrację. Stało się to rzekomo w tym celu, aby nie dopuścić do prowokacji. W ten sposób stali się Niemcy sudeccy ofiarą Henleina. Gdy obskurny „ruch" sudecki rozpoczynał swe odrażające „wyczyny", zabrano się w Czechosłowacji na dobre do stawiania wielkiej i nowoczesnej barykady fortyfikacyjnej. Czeskie linje Maginota biegły także od strony ówczesnej suwerennej Austrji. W dniu 24 kwietnia ub. r., w chwili ogłoszenia bezczelnych postulatów henleinowskich w Karlsbadzie, barykady czeskie były gotowe. W dniu 21 maja zatryumfowały nawet. W odpowiedzi na skupienie iluś tam dywizyj niemieckich na granicach, w odpowiedzi na bluff obżartego „Anschlussem" sąsiada, najeżyły się barykady czeskie ludem zbrojnym. Niemcy wycofali się z wściekłością. Nic nie było jeszcze stracone... po obu stronach barykad czeskich.

KAPITULACJE

Potomkowie zbrojnych w żelazne cepy, gwiazdy i maczugi taborytów są zdecydowanymi cywilistami. Zdemobilizowani dziś żołnierze czescy nie sprawiali wrażenia marsowego, ale byli świetnie wyekwipowani. Fachowcy zaręczają, że była to jednak armja bardzo dobra, zaopatrzona wyśmienicie w najnowocześniejszy sprzęt wojenny. Fortyfikacje czeskie były wzorowane na linji Maginota, lecz jako daty nowszej miały być lepsze od niej. Sami Czesi narzekają na swą niesforność, ale są świetnymi organizatorami. Są zupełnie pozbawieni kompleksu wyższości, ale potrafią doskonale... uciskać słabszych. Są cywilistami, zdradzali masowo c. k. Austrję i bili się dzielnie pod Zborowem. T. zw. psychologja narodów jest jedną z najbardziej niedoważonych dyscyplin, załatwiając przedewszystkiem obstalunek społeczny reakcji. Toteż cywilni Czesi biliby się napewno z solidną bohaterskością. W noc powszechnej mobilizacji, na widok niezachwianego pogotowia tych ludzi, oświadczył pewien dopiero co przybyły z Niemiec dziennikarz, że w Pradze wygląda tak, jakgdyby po tej stronie żył 75-miljonowy naród a po tamtej 15-miljonowy.

Są kulturalni i ludzcy w masie, jako lud. Jak zresztą wszędzie. Widziałem Czechów i Niemców na manifestacjach i wystąpieniach na t. zw. zjazdach solidarności i braterstwa. Cóż za odwieczne lgnięcie ludu do ludu! Była tam jednak polityka. Ale gdy pierwsi uciekinierzy sudeccy przybyli do Pragi, jakże doznali serdecznej gościnności. Pewien młody żołnierz pokazał mi zdobycz wojenną — wymiętoszony a bodajże i krwią zbroczony proporczyk hitlerowski. Opowiadał z zażenowaniem, jak to patrole wojskowe ubijały się z „puczystami" w kraju niczyim, bez planu i wyraźnych instrukcyj, za wyjątkiem tej, że nie wolno im... prowokować. Zajęli splądrowany budynek stacyjki granicznej i ustawili w rozbitem oknie karabin maszynowy, czekając co będzie. Nad ranem ukazali się od strony lasu granicznego „powstańcy". Zbliżali się mimo ostrzeżenia. Nawpół umundurowani „ordnerzy" zwoływali jakichś ludzi, kryjących się w lesie. Były wśród nich i kobiety. Gdy byli już blisko, żołnierz dał kilka strzałów w bok. Uciekli z przeraźliwym krzykiem. Nie mogłem do nich strzelać — powiada i uśmiecha się niepewnie.

Górnik niemiecki, uciekinier z Haberspirka, człowiek stary i zniszczony, z trwałemi wypryskami węgla na rękach i twarzy, siorpiąc zupę w „niemieckim domu" w Pradze, zamienionym na schronisko dla zbiegłych sudetczyków, opowiadał:

— Właściwie, tośmy się trochę bali tej Pragi, bo to co człowiek przeżył tam u nas... Nasze miasteczko liczy z 4 tysiące mieszkańców i dość nas było antyfaszystów. Zgłaszaliśmy się, że chcemy mieć milicję, ale nie przyjęto naszej oferty. Więc sami trzymaliśmy się kupy, ale nie poradziliśmy. W miasteczku zostało tylko czterech żandarmów, bo resztę i wojsko wycofano. We wtorek rano (dnia 13 września) obsadzili FS-mani gminę i szkołę czeską i obstawili stację żandarmeryjną. Już ci żandarmi stamtąd nie wyszli żywo, bo bronili się i zepsuli paru ludzi. Wszystko to prawda. Słyszeliśmy strzały, ale co mogliśmy poradzić, kiedy mieliśmy tylko gołe pięści, a faszyści byli uzbrojeni w automatyczne karabiny i granaty... Czekaliśmy aż przyjdzie i nasz koniec, ale na szczęście przysłali odsiecz. Tamtych żandarmów czterech, to już zmajstrowała hałastra... A co szkody narobili, a czego się nie narabowali! Jak tylko wojsko się pokazało, to zaraz zmiatali przez granicę na tamtą stronę...

Rebelja henleinowska spaliła na panewce, lecz wtedy przystąpiła reakcja czeska do ataku na Hradczyn. Nic o tem nie wiedział lud czeski, mało co zrozumieli politycy. Dopiero później można było stwierdzić, jak fatalnie przeniknęły się w tych dniach dwie zdrady, zdrada „patrjotów" ze zdradą „wielkich przyjaciół" zachodnich.

Czyż był w tem wszystkiem plan, działała tu może jakaś niewymownie chytra i zgóry ukartowana spółka magów londyńskiej City z kapłanami magji brunatnej na Obersalzbergu? Owszem, były tu elementy planu, były narady i były tajne podróże i konszachty. Ale rzeczywiście odegrany film synchronizowały „czasy pogardy", wyświetlał Chaos gnijącego i rozkładającego się w oczach naszych świata kapitalistycznego. Jego logika jest szaleństwem, jego idea myśleniem nawywrót, bohaterstwo — mundurem, a treść — niewolą.

Przebudzenie się ludu czeskiego w dzień środowy pierwszej kapitulacji (21 września) było straszne. Ulice solidnej Pragi zawrzały wybuchami najwyższej rozpaczy i nikt by może nie spodziewał się takiego patosu u tych chłodnokrwistych raczej Słowian. Tego dnia można było w Pradze widzieć ból mas: zjawisko jednak niecodzienne.

Ale te rozpacze nie były jałowe, jeszcze nie wszystko wydawało się stracone, ulica nie chciała, nie mogła skapitulować. Niezwykłe były pochody przebiegające miasto, pomimo zakazu zgromadzeń. Rdzeń

tych młodych ludzi, wybiegających z krzykiem na ulice, kierowany był niewątpliwie z lokalów partyjnych. Lecz co za osobliwe przeobrażenie! Jaka zadziwiająca mechanika instynktu ludowego, jak pozytywnie i twórczo kipiał ten wrzątek ludzki! Komuniści byli pierwsi na mieście. Przewodził im sztandar państwowy i wołania o obronę. Wkrótce potem trysnął na plac Wacława strumień wyraźnie nacjonalistyczny. Krzyczeli o dyktaturę generałów, bo takie już było hasło i takie już, widać, obyczaje tej szkoły. Ale w pewnym momencie wpadły obie te strugi ludzi na siebie. Skłębiło się, zabulgotało jakąś skowyczącą fanfarą. I nagle tłum związał się, uszczelnił i walił rzeką ludu na zamek. Już nie było wołania o dyktaturę, ale tłum desygnował człowieka, który miał ratować, zawrócić z drogi kapitulacji, wydać rozkazy. Człowiekiem tym był gen. Syrovy, bohater zborowski.

A więc tak wygląda zbiorowy czyn, tak roztropne i nie obrazoburcze mogą być masy wśród rewolty uczuć, w malignie rozpaczy i oburzenia, niedaleko od wątku, odkrywającego może i... zdradę?

Te tłumy były dobre, łaskawe i wzniosłe. Nie obito ani jednego cudzoziemca, nie stłuczono ani jednej wystawy. Ocierano się o masy bliźnich i stwierdzano, że wszyscy są jednomyślni. Lud to był... „totalny". Dojrzały.

Na drugi dzień, w czwartek, była już organizacja. Komuniści odbyli pod parlamentem wiec narodowy, na którym do prawie 200 tysięcy zgromadzonych przemawiali przywódcy wszystkich obozów, nawet nacjonalista Raszin i wódz faszystów Czeskich Gajda, nawet agrarjusz słowacki Rybarik! To był niewątpliwie „fołksfront" oddołu i odgóry. A może i jedna z dodatkowych przyczyn ostatecznej kapitulacji, bo rząd jaki tego dnia uformowano był rządem urzędniczym z przewagą... agrarjuszy.

W piątek wieczorem ogłoszono mobilizację, której potrzebował dla swych zamierzeń „pokojowych" premjer Chamberlain. Czeski naród cywilistów szedł pod broń z wstrząsającym zapałem. I nawet siedm niesłychanych dni od Godesbergu do Monachjum zapału tego skruszyć nie zdołało. Lud czeski trwał dostojnie i wytrwale w swem postanowieniu. Ale druga kapitulacja była już jak uderzenie maczugą. Barykady czeskie oddano bez walki, a naród oszukano.

KATASTROFA I PROTEKTORAT

Od 30 wrześna wskazywało wszystko na katastrofę i wszystko do niej zmierzało. Perypetje ukraińskie i dogadywania się ze Słowakami, manipulacje wokół „jednoczenia" się narodu i incydenty graniczne — wszystko to miało charakter koszmarny i nie zapowiadało nic dobrego. Aż dziw, że potrwało to jednak pełnych 5 miesięcy. Dogrywano jednak tymczasem partję zachodnią, groteska nieinterwencyjna mogła wreszcie dzięki metodzie monachijskiej znaleźć swoje właściwe rozwiązanie w nieszczęsnej Hiszpanji. Plan? Ależ to tylko zgrywanie się hyjen na pobojowisku umierającej cywilizacji!

Tymczasem spełniały się wyroki bezbronnej Czechosłowacji. Zatarg ze Słowakami mógł się skończyć nawet trochę inaczej a katastrofa odwlec się o jakiś czas, ale do tego trzeba było nerwów, woli i przynajmniej jednego życzliwego sąsiada. Politycy prascy już tem nie rozporządzali a Czechom było już wszystko jedno. Nie kochali tej swojej „drugiej" republiki. Lecz „schuschniggjada" z 14 na 15 marca ma swą niezwykłą wymowę, bo to nie było już tempo zwykłej sobie katastrofy, lecz udar sercowy. Prezydent Hacha pojechał do Berlina na audjencję, aby w równo 24 godziny później powrócić do stolicy nadwełtawskiej, gdzie oczekiwała go już na dworcu kompanja honorowa okupanta niemieckiego. Takie tempo trzeba sobie jednak wbić w pamięć, takie ciosy trzeba już dziś umieć parować na długo przed zamachem. W przeciwnym wypadku stają się elementem demonicznego planu i zabijają dokładnie i bez reszty.

Ale Trzecia Rzesza wielkoniemiecka nie zamierza zabijać lub ograbić swego pupila czeskiego bardziej, aniżeli swój własny lud. Tylko parę miast na kraju i parę wysepek niemieckich wewnątrz wejdzie w skład państwa niemieckiego bezpośrednio a reszta pozostanie w „protektoracie", pozostanie w posiadaniu ludu, który „w ramach Wielkich Niemiec" rozpoczyna nowe tysiąclecie swego istnienia", jak wyraził się wiceprzewodniczący rady Czeskiej Wspólnoty Narodowej. Niemcy występują rycersko, idea protektoratów, która zaświtała w mózgownicach napastników tak nagle, jak nagle wyłoniła się oddawna szukana okazja skreślenia Czechosłowacji z mapy, odegrać może niepoślednią rolę w dalszych zamierzeniach Trzeciej Rzeszy a może „osi" i całego „trójkąta" Berlin—Tokio—Rzym. I to trzeba mieć na uwadze.

Żołnierzom niemieckim podoba się w Pradze bardzo; jedzą, piją, zakupują za dziesięciu i czują się tak, jak niegdyś walutowi cudzoziemcy w łupionych po Wersalu Niemczech. Są grzeczni i poprawni i chcieliby całe życie tak łatwo zwyciężać. Totalizm przygotowuje się dopiero, Czesi sami będą go przeprowadzać, jednak nie tak, jak wyobrażali to sobie tutejsi faszyści, zezujący trochę w stronę włoską. Tylko prasa i wszystko, co tworzy opinję publiczną, podległo odrazu „zgleichschaltowaniu". Niema gazet zagranicznych, tylko z radja można się czegoś dowiedzieć. Stąd też dowiadują się Czesi o aresztowaniach, o obozach koncentracyjnych i o wrzawie świata. Chwilowo znikł jednak ten świat z horyzontu człowieka czeskiego a widnokręgi zwężają się z dnia na dzień coraz bardziej. Zaczyna się jakieś życie — to tylko pierwsze dni były tak fantastyczne i tak niepojęte. Oczywiście, że także kwestja żydowska będzie „rozwiązana".

Jutro? „Protektorat" nie ma jutra i to właśnie jest jego istotnym sensem. Będzie tylko jakieś „dziś", które powtarzać się będzie przez jakiś czas codziennie. Jak długo? Tak długo aż Wielka Magja nie zawadzi o pierwszą przeszkodę. Dotychczas się jej to jeszcze nie przydarzyło.

Józef Płoński

LIST ZE WSI

Wieś staje się ośrodkiem zainteresowań politycznych i społecznych. Kopciuszek organizmu państwowego nie tylko sam wypycha się na czoło zagadnień, ale i „ugóry" zaczynają o nim poważnie myśleć, pisać i mówić. Może się zdawać, że wreszcie skończy się z pustemi frazesami, rzucaniem gołosłownych haseł, a przyjdzie czas wnikliwych badań i pozytywnych prac. Główną cechą wszelkich wniosków i zdań o wsi było dotąd zupełne nieliczenie się z głosami najbardziej zainteresowanych — głosami chłopów . Zwłaszcza, jeżeli chodziło o młodą wieś. Wielkim wyjątkiem jest dzieło J. Chałasińskiego „Młode pokolenie chłopów". Oby takich książek było jak najwięcej.

Mylą się ci, którzy sądzą, że młodzi schodzą się na zebrania organizacyjne, aby zdobyć wiedzę fachową czy ogólno-oświatową. Idą, bo w domu ciasno, smutno, jednostajnie i ciągle źle, idą, bo w gromadzie jest weselej, inaczej, odświętnie. Jeżeli ktoś zdobędzie także pewne wiadomości fachowe, nie zastosuje ich prędzej, póki nie będzie miał własnego warsztatu pracy. Przecież rodzice absolwentów rocznych szkół rolniczych chcą dla nich posady, nie zaś „rządzenia" się w gospodarstwie. To jest jeden z licznych przykładów konserwatyzmu chłopskiego.

Władze organizacyjne kładą szczególny nacisk na wpajanie w członków przeświadczenia, że należą do najlepszego stowarzyszenia, że w niem tylko mogą zdobyć wszystko. I jakoś młodzi nie mogą tego „wszystkiego" zdobyć, sami do takiego wniosku dochodzą i rozczarowują się.

Młodzież schodzi się, razem bawi się, śpiewa, „pracuje", zawsze koedukacyjnie i — oswaja się. Jest szczersza we wzajemnem współżyciu, ma większe zaufanie koleżeńskie. Chłopcy mniej chodzą już z nożami w kieszeni, dziewczęta mniej plotkują. I to jest największy pożytek zebrań wszelkich organizacyj.

Młodzież zdobywa wychowanie społeczne w związkach. Tego nie można zaprzeczyć. Ale ono przenika samo przez się, niewidocznie; do tego nie dąży się specjalnie, ono samo przychodzi.

Wiem, że oburzą się na to przedstawiciele „Wici", „Młodej Wsi", K. S. M. P. i t. p. My budujemy Polskę ludową, narodową, „państwową", katolicką i t. d.; my sami dążymy do tego; chcemy zjednoczenia narodowego.

Właśnie: zjednoczenie... Przed kilku dniami byłem świadkiem takiej sceny na targu. Chłop sprzedał konia żydowi. Żyd cieszy się, że to on kupił, nie zaś pewien Niemiec, który też chciał nabyć konia. Śmieje się z niego, a ten:

— Nie ciesz się, Hitler przyjdzie, to weźmie ci za darmo.

Stojący obok policjant zainteresował się zwolennikiem brunatnego dyktatora.

Mały przykład, wiele mówiący. W dobie naturalnego i sztucznego nacjonalizmu, w dobie naturalnej i sztucznej sławy dyktatorów — trudno w naszych warunkach o zjednoczenie narodowe. Tylko zastosowanie zasad demokratycznych może zjednoczyć wszystkich obywateli Polski.

Mówi się o spólnocie interesów robotników i chłopów o potrzebie większej wzajemnej spójni u tych ostatnich. Ale nawet w jednym stanie chłopskim trudno jest o zjednoczenie. Robotnicy są klasą pracującą w przedsiębiorstwach państwowych i prywatnych. To nic, że różne są ich zarobki, ale nie mają swej własności, pracują na kogoś obcego. To ich najbardziej łączy. A chłopi? Chłop na dwudziestu hektarach i na — dwu hektarach. Biedniejszy jakże często jest wyrobnikiem bogatszego, i jak często przez niego wyzyskiwany. Robotnik u robotnika nie zarabia. Tu jest największa trudność w zjednoczeniu warstwy chłopskiej.

Prawie wszystkie organizacje młodzieży chłopskiej budują gmach nowej wsi, o ładnej nieraz konstrukcji, lecz o trwałym fundamencie pod tą budowę nie myślą. Wieczne, stare złudzenia...

Dwa najpotężniejsze związki młodzieży chłopskiej są wyrazem młodej wsi: K. S. M. P. i „Wici".

Pierwszy liczy więcej członków, cieszy się opieką księży — wielkiego autorytetu starej wsi; jego ideologja jest „starsza". Utrzymuje się i rozszerza siłą tradycji. Stara się mieć jedyny i decydujący wpływ na życie młodej wsi. K. S. M. P. — to awangarda konserwatyzmu społecznego.

Drugi jest liczebnie mniejszy. Jego ideologja jest „młodsza". Coś nowego wprowadza w życie wsi, coś rewolucyjnego; wieś nie jest zdolna do rewolucji i to jest głównym powodem słabego rozrostu związku. Wiciowcom sprzykrzyła się zasada, że jedynym celem człowieka jest unikanie grzechu, a gdy go się popełni — żal za niego. Jakgdyby chłop więcej żadnych zmartwień nie miał i jego życie duchowe ograniczało się tylko do zagadnień religijnych.

Pierwszy związek głosi równość wszystkich ludzi wobec Boga, drugi — równość nie tylko wobec Boga. Młodzież chłopska zrozumiała swój niedosyt ciała i ducha, szuka dróg poprawy swego losu. Chce żyć pełnią życia człowieczego. Lecz jak to życie powinno wyglądać, niewielu o tem wie, choć wszyscy wiedzą, że jest źle. Stawiają żądania...

Chcemy... — Jakby na ironję utworzono trzy stopnie powszechniaka, aby chłopu zdawało się, że jego dzieci chodzą do „szkół", a nie do szkoły. I rzeczywiście, ostatni stopień powszechnej — to „gimnazjum chłopskie". To jest największe zło, największa krzywda wsi. Każde dziecko musi skończyć całą powszechną szkołę. Później ci, którzy nie pójdą do średnich zakładów naukowych, niech chodzą do wiejskich szkół dokształcających — uniwersytetów ludowych. Tam zdobędą wiedzę o życiu współczesnem, fachową, nauczą się zasad współżycia z ludźmi, pokochają życie.

Chcemy... — Tyle lasu obok... a my mieszkamy w barakowych chałupach, w których czujemy się fizycznie i duchowo źle. Materjał na nasze „szklane domy" szumi obok. Przez weneckie okna pięknych mieszkań inaczej będziemy patrzeć na świat. Ilu z nas nie żeni się tylko dlatego, że w chałupie u niej jest ciasno, u mnie jeszcze bardziej. Na dom trzebaby sprzedać całą swoją ziemię.

Chcemy... — Niech jeden chłop nie zarabia u drugiego. Niech każdy gospodarzy na tylu morgach, na ilu może się utrzymać i ile obrobić.

I jeszcze... — Świeże jest zawsze powietrze wiejskie, ale powietrze nie zastąpi we wszystkiem złego odżywiania się, wilgotnych ścian dusznej chałupy, dziurawych butów. Dajcie nam pomoc w organizowaniu powszechnych spółdzielni zdrowia, dajcie nam lekarzy na wieś, którzy nie tylkoby leczyli choroby, ale i uczyli, jak się przed niemi uchronić.

Kilkumiesięczny okres zimowy spędzamy niewiadomo na czem. Czytalibyśmy, owszem, ale co? Książki są drogie. Trzeba wsi dać dziesiątki tysięcy ruchomych kompletów wartościowych książek.

Tylko tyle? Niewiele. Dla nas bardzo dużo. W tych żądaniach mieści się cała nasza żądza zmiany, stwierdzenie walki, ból, radość... Wszystko.

Naiwne wydadzą się czytelnikom z miast te słowa. Wiem o tem. Taka już nasza dola, nas — nowych chłopów. Jesteśmy osamotnieni nawet w swojej wsi. Ksiądz krzyczy, starzy wymyślają od „komunistów", większość młodych stroni, czasem trzeba odwiedzić posterunek policji. Jest nas tak mało, a tak wielu mogłoby być, tak dużo jest bowiem do zrobienia; dla całej wsi. Źle jest nam w tej walce nierównej. Chcemy się czasem poskarżyć szerszemu społeczeństwu na szpaltach jakiegoś pisma, a tu umysł nie potrafi wyrazić w odpowiedniej formie, co czuje serce, nie wystarczają wiadomości gramatyczne, brak stylu, treść ściąga widmo konfiskaty.

Wiemy tylko jedno: nie zejdziemy ze swej drogi, nie zmienimy kierunku ideowego; możemy upaść, lecz nie będziemy czołgać się przed ludźmi, sytymi i zadowolonymi.

I wierzymy: Nasza sprawa jest słuszna. Sprawiedliwość społeczna — to nasze wyznanie wiary. Polska przyszła — to Polska Ludowa!

Wiktor Bastrzyk

BRONISŁAW KAMIŃSKI

FRAGMENT POEMATU

Od dwóch godzin nieruchomo stoją konie przywiązane do wozu
na łące podobnie jak kwiaty zbieram głowy przechodzących ludzi
a murarze nie patrząc na kurz rozniesiony kołami budują czerwony dom
kiedy do szubienicy zabrakło powrozu
a ja nad zagadnieniami bytu przestałem się trudzić
urzeczeni wiatrem młodzi chłopcy za piłką biegają jak tęsknoty
te dziewczynki dla lalek jak dla kochanków szmatki drą
tak bardzo dużo mają do roboty

Pod lasem urodziła mi się radość
jeszcze nie udrapały policzków małe sosenki
gdy poczułem że ogarnia mnie przejmująca radość
jakbym wymyślał balady i piosenki

i... gwoździe wśrubowały bruk do hełmów
tego nie chciałem zobaczyć, ale na koniu za szablą jechał oficer
a twarz Pawła Wójcika krwawiła na zieleń
Lepiej patrzeć na buty żebraka z krzywym sznicem
i szeptać: ach nie przejmuj się nie przejmuj
ludzi żyje przecież tak wielu

W lesie można zbierać grzyby stokrotki i rumianek
można na oczach położyć słoneczną polanę
i patrzeć w chmury — twarze zapomnianych kochanek
albo usiąść spokojnie i niebo podeprzeć kolanem

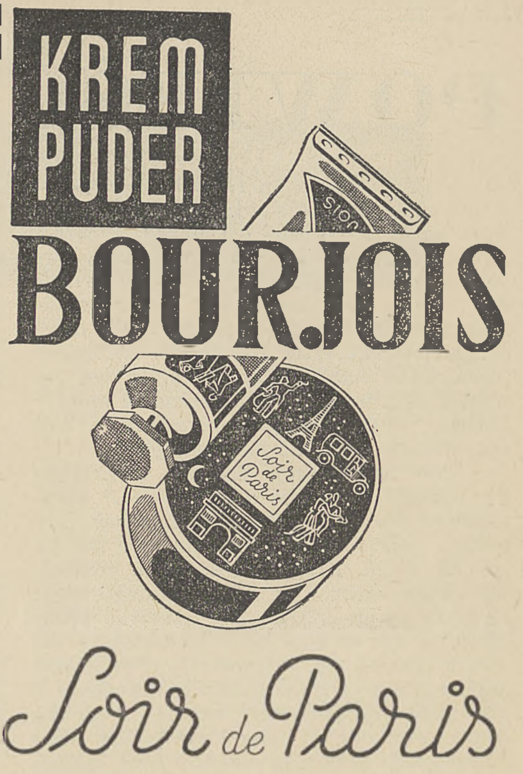
można się zanurzyć we wspomnieniu o długich wieczorach zimowych
i słuchać — sanek dzwoneczki
lub chodzić po pokoju jak samotny ból głowy
patrząc w porzucony szafir jak niebo niebieski

wyjść na granitowych gór szczyty
w oczach zapalić czerwony zachód.
i klęczeć przed strasznym obrazem błękitu
wbitym do górskiego żwiru i piachu

ale tu dzień się parł na horyzoncie idącym spod lasu
podmiejski tramwaj zgrzyta na szynach
to świat przypadków różnych jak chwile
te konie stoją tu tak długo że nie można obliczyć czasu
i ludzie stoją choć zdaje im się że fruwają jak motyle
...pyłki sadzy wyrzucane przez parową maszynę

mimo wszystko młodość tęskni do dziwnych miast
do chwil wydumanych nad rodzinną rzeką
a to jest bliskie jak spojrzenia wieczornych gwiazd
choć do nich jest najdalej daleko

ZAGADNIENIA SPOŁECZNE



Twierdzenie: „Niema literatury chłopskiej ani proletarjackiej, jest poprostu i tylko literatura“ — kryje tylko prawdę jednostronną. Jest ono słuszne, gdybyśmy ograniczyli literaturę do jej stron formalnych (i to z zastrzeżeniem). W istocie widzimy ścisły związek literatury z życiem społecznem (przedewszystkiem przez samego twórcę, jako wyraziciela środowiska społecznego) — widzimy, że pewien typ literatury wyraża się najdoskonalej w okresie supremacji gospodarczo - politycznej pewnej klasy (może raczej warstwy?) społecznej. Literatura ta rozwija się i przechodzi w okres dekadentyzmu wraz ze zmierzchem klasy, z którą związała swoje losy, której była wyrazicielką i dla której była tworzona. Konfliktu sprzeczności interesów klasowych nie można oczywiście przenosić na życie literatury; jest jednak rzeczą jasną, że np. chłop będzie się odnosił niechętnie do literatury, która mówi o nim nieprzychylnie, która staje wpoprzek jego tendencjom politycznym czy społecznym. Ale odrębność literatur nie zamyka się tylko w postawach negatywnych. Zacytujmy, w pewnej mierze słuszną opinję F. Pajdaka („Młoda Myśl Ludowa“, nr. 4 r. 1936): „Literaturą chłopską, w odróżnieniu od literatury miasta, kleru, proletarjatu fabrycznego — są i będą te dzieła, które w treści i intencji autora, przenikającej ową treść, wykażą styczne do życia wsi, harmonizować będą z jej duchem i potęgować z dnia na dzień dynamikę jej rozwoju“. Jest to kryterjum słuszne, wzięte jednak z dziedziny raczej pozaliterackiej, ideologicznej. Aby zbadać zagadnienia pisarza i pisarstwa ludowego, trzeba przeprowadzić analizę bardziej subtelną. Pewną podstawę, a zarazem orjentujący wskaźnik, stanowi tu książka K. L. Konińskiego.[1]) Koniński jest filologiem — cel swój określa jako badawczy. Częściowe nieporozumienie może polegać na tem, że los drukowanych w jego pracy wyjątków pamiętnikarstwa chłopskiego, został przesądzony w innym, nieliterackim, kierunku (opracowywali je przeważnie socjologowie: Znaniecki, Krzywicki, Chałasiński, Szuman, a tylko w jednym wypadku Żeromski).

Zaszeregowanie pisarstwa ludowego do t. zw. ludowości (nie tej — romantyzującej stylizacji i nie tej z Młodożeńcowych „Futuro-gam, futuro-pejzaży“), do sztuki ludowej, ogólnie: do folkloru — zadecydowałoby o tem, że jest to, jako zjawisko kulturologiczne, przedmiot badań antropologa czy socjologa kultury. Antropolog lub socjolog kultury nie będą w badaniach stosować norm estetycznych, empiryczne badanie kultur (m. in. folkloru) wyklucza zasadniczo wartościowanie estetyczne; wprawdzie mają oni również do czynienia z zagadnieniami wartości, ale nie chodzi im o same wartości, lecz o wartościowanie, czyli: jaki system (hierarchję) wartości estetycznych uznaje i stosuje w ocenie dane środowisko społeczne. Koniński wybrał stanowisko graniczne: musiał być estetykiem i socjologiem.

Zagadnienie pisarstwa ludowego i kryterjów ludowości mogło być sprowadzone tylko do tej jedynej, pozaspekulatywnej postaci humanistycznej, do pytania: kto jest pisarzem ludowym? Sprawa nie jest prosta. F. Pajdak pisze: „Chłopskość to nie stopień cenzusu naukowego, względnie jego minimum, nie pochodzenie czy majątek, względnie znów jego nieposiadanie, ale sprawa poglądu na świat, rodzaj zamiłowań i odczuwania życia... Chłopskość to kultura pracy gromady, to życie z naturą w przymierzu“. Koniński przyjmuje kryterjum bardziej słuszne, kryterjum *trybu życia*. Zastrzega się, że będzie go używał zbiorowo i fakultatywnie, ale to prowadzi Konińskiego do postawienia kwestji niewłaściwie: „pisarzem ludowym —mówi— jest ten człowiek, który jest gorliwym samoukiem“. Konsekwencją takiego sformułowania było to, że w antologji znalazły się wyjątki z pamiętników robotników i bezrobotnych, zupełnie niesłusznie. Robotnik fabryczny, bezrobotny czy lumpenproletarjat miejski, to typ duchowo-obyczajowy zupełnie odrębny, inny niż chłop, dla którego moment własności prywatnej jest zupełnie inną wartością niż dla robotnika. Wpływ rozległego krajobrazu, bezpośredni kontakt z ziemią przy przeorywaniu własnej skiby, ma niewątpliwie zasadnicze znaczenie dla kształtowania się psychiki chłopa. To zaś musi być decydujące w pewnej mierze i dla estetyka i dla socjologa. Kontrast odczujemy, gdy porównamy rewolucyjny patos robotników („Robotnicy piszą“) z mizoneizmem, tak częstym wśród chłopów. Oczywiście, nie przesądza tu pochodzenie; ludzie, którzy oderwali się od zajęć rolnych i przeszli do innych środowisk, nasiąkają jego kulturą duchową i obyczajową, zostają nieraz całkowicie zasymilowani. Inteligent chociaż pochodzenia wiejskiego, jest tylko inteligentem. Sprawa nie jest tak prosta i coraz bardziej się komplikuje. Chodzi bowiem o to: „Jak pogodzić te postulaty: ażeby pisarz ludowy nauczył się poprawnej mowy inteligenckiej, ale zarazem nie utracił bujnego konkretywizmu ludowej swojej mowy i wyobraźni?“. Tu kryje się sedno zagadnienia oryginalności literatury ludowej. Sama hierarchja tematów, moment opisywania życia wiejskiego, nie zadecyduje o ludowości utworu. Ale na tem nie koniec — sprawa komplikuje się dalej: nie będzie rzeczą obojętną, kto dokonywa zaszeregowania, kto przesądza o ludowości czy nie-ludowości utworu. Pewne bowiem „normy“ estetyczne, pewne(często intuicyjne) systemy wartości, wykształcone na sztuce mieszczańskiej, inteligenckiej czy jakiejkolwiek innej — nie mogą zapewne być stosowane wartościująco do twórczości ludowej. Oceny inteligenta są autorytatywne tylko w stosunku do własnych przekonań, są one zresztą dwoiste. „Mamy bowiem — pisze Koniński — dwie miary: raz mierzymy według transcendentnych, w stosunku do kultury ludowej, walorów, miarą naszej własnej dojrzałości kulturalnej; drugi raz wedle immanentnych walorów ludowości; coprawda w naszem odczuwaniu obie te miary są godziwe ale cóż kiedy nie są one logicznie składane?“ „A dalej — (uwaga St. Kołaczkowskiego) — nasz (inteligentów) stosunek do literatury ludowej jest „perwersyjny“: podoba się nam to, czegoby chłop wyzbyć się raczej chciał; podoba się nam jego naiwność, prymitywizm, słowem jego psychokulturna izolacja, natomiast mniej podoba się nam to, co jest wynikiem jego ambicji, zdążającej do zrównania się z nami. Jego zamierzone efekty artystyczne nie są dla nas efektowne, natomiast (opinja J. S. Bystronia), co dla nas jest efektem, było częstokroć przez twórcę ludowego niezamierzone“. W takiej sytuacji powstają dwie, albo i trzy literatury ludowe: jedna, odpowiadająca inteligentowi, druga, podobająca się chłopu, wreszcie literatura, którą chłop tworzy sam, ale której wartości i nie zna i niedocenia. Gdyby ktoś, na podstawie gustów, na podstawie sposobu wartościowania, przyjętego w środowisku chłopskiem, zbudował pewien system wartościowania estetycznego, e s t e t y k ę l u d o w ą — można być przekonanym, że na podstawie jej ocen to co my nazywamy dziś literaturą ludową, spotkałoby się z jej dezaprobatą. Pomijając już, że to, co określamy mianem *literatury* ludowej (w przeważnej mierze składają się na nią autobiografje chłopów), nie jest właściwie literaturą (pisze tu nie twórca świadomy, lecz samo życie, samo środowisko — prawie cała sztuka ogranicza się do pamięci), jest przecież rzeczą jasną, że chłopu, który ma gnój w życiu, nie będzie odpowiadać gnój w literaturze. Jan Wiktor mówił na zjeździe młodzieży wiejskiej w r. 1934: „Chłopi nie chcą czytać o sobie. Powiadają: my znamy ten gnój, my nie potrzebujemy, aby nam o tem ktoś pisał“. Człowiek, szczególnie człowiek prosty, poszukuje zawsze w literaturze dopełnienia życia, nowości, egzotyki (tego, czego my szukamy w literaturze ludowej). Wytwarza się taka sytuacja: chłop wykształcony i oderwany od ziemi przestaje być chłopem, staje się inteligentem; dla chłopa niewykształconego ideałem jest literatura inteligencka i jej formy; chłopi piszą, lecz chłopi nie czytają chłopskich utworów, czyta je grupka znawców literackich. Czy w tych warunkach nie brzmi tragicznie pytanie: jaka jest racja bytu litratury ludowej? Chłopi „chcą pisać, wypisać się“ — ale czyż to nie za mało? Potrzebna jest szeroka, poważna dyskusja nad tem zagadnieniem; potrzebne są jakieś przedsięwzięcia. Pierwsze kroki już zostały postawione; książka Konińskiego stanowi poważny wkład. Należy się mu uznanie za pracowitość, jakiej niewątpliwie wymagało opracowanie antologji. Wyłowienie z potoku narracji i nieopanowanej gadaniny, rzeczy najważniejszych, najciekawszych i charakterystycznych — z autobiografij takich „klasyków“ pamiętnikarstwa chłopskiego, jak Słomka, Kuraś, Magryś, Wojciechowski, Berkan, Koral, Bonczek, z pamiętników chłopów i bezrobotnych — oto zasługa wobec inteligencji, pragnącej dowiedzieć się prawdy, prawdy niesfałszowanej o chłopie polskim.

Czekamy na dalsze prace z tego zakresu.

[1]) **Karol Ludwik Koniński**, dr. fil. **Pisarze ludowi.** Wybór pism i studjum o literaturze ludowej. Z przedmową prof. dr. **Fr. Bujaka.** Lwów, Spółdzielnia Wydawnicza „Wieś“, 1938; str. 325.

Doc. Dr. Stefan Inglot. Historja społeczna i gospodarcza średniowiecza. Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1938; str. 312.

Książka ta odznacza się przejrzystością, umiarkowaniem w przytaczaniu statystyk i cudzych opinij i jasnym układem materjału, co nadaje jej charakter podręcznika. Autor nie ma ambicyj odkrywczych, gromadzi zagadnienia już w nauce oficjalnej utrwalone, w sprawach spornych zadowala się eklektyzmem.

Przegląd dziejów gospodarczych średniowiecza rozpoczyna od następstw najazdów germańskich ludów. Bizancjum, „uprzywilejowany azyl cywilizacji“, jego handel, przemysł i organizacje cechowe, w które wglądała władza publiczna — oto zagadnienia następne. Autor nie uwydatnia jednak wpływu, jaki Bizancjum miało na kraje północne. Gdy Saraceni zajęli terytorja nad Morzem Śródziemnem, Bizancjum szuka nowych dróg ekspansji; skierowuje się ona ku północy. Ku południowi zaś posuwają się Warego - Rusowie, zakładając Nowogród, Smoleńsk i Kijów. Nawiązują się kontakty między nimi a Bizancjum. Ruś, nie przeżywszy nawet wstępnych okresów gospodarczych, staje się terenem żywej organizacji wymiany. Handel rozwija się wzdłuż Wołgi, daleko na północ, z pominięciem terenów późniejszej Polski. Dopiero w następnym okresie jest znany t. zw. trakt Nestorowy, wzdłuż Dniepru, skierowany także ku Wiśle. Gdy upadła wymiana z Bizancjum, Ruś przechodzi do gospodarki zamkniętej, rolniczej. Podobne zjawisko obserwujemy na Zachodzie za Karolingów.

Niedość silnie zaznaczono odrodzenie gospodarki europejskiej, szczególnie zaś handlu, w XI w. Naskutek zbrodniczej działalności miast włoskich następuje upadek Bizancjum (skierowanie przez Wenecję czwartej wyprawy krzyżowej na to państwo, złupienie Konstantynopola, zniszczenie przez genueńczyków jego floty i t. d.). Miasta na zachodzie Europy odgrywają już pierwszorzędną rolę. Nastąpiły pewne zmiany ustrojowe, przejście od gospodarki ekstensywnej do form bardziej wyrobionych, czego wyrazem jest choćby zamiana — pod wpływem Cystersów — pańszczyzny na oczynszowanie.

Inglot nie rozszerza naszych wiadomości o genezie i rozwoju komun włoskich. Konsulat, urząd podesty, rada większa i rada mniejsza, pokój miejski podczas targów, instytucja ławników, która ustala się jako korporacja przysięgłych — oto pochód ku samorządowi i autonomji miast włoskich, których ustrój staje się wzorem dla innych. Dopiero w obronie własnych interesów, w walce z biskupem czy innym możnowładcą, mieszczanie łączą się w związek, z którego powstaje gmina „communio“. Oczywiście, rządy w miastach chwytają w swoje ręce bogacze, patrycjat miejski, często szlachta; uciskany lud, nie uzyskawszy współudziału w rządach, tworzy własną gminę, ludową, na której czele stoi t zw. capitaneus populi.

Praca Inglota zapoznaje czytelnika z przejawami kapitalizmu w średniowieczu, we Florencji np. i Flandrji; przewagę miał kapitał handlowy. Marx twierdził, że kapitały, które w czasach nowożytnych występują na widownię całego świata i działają z drapieżną prężnością, pochodzą z ogromnych dochodów średniowiecznych kupców; Sombart natomiast jest zdania, że kapitały te pochodzą z renty gruntowej. Inglot zajmuje stanowisko pośrednie: wprawdzie kapitalizm średniowieczny ma charakter handlowy, jednakże obszarnicy inwestowali ryzykowne przedsięwzięcia kupców, biorąc udział w zyskach.

Przechodząc do kolonizacji miejskiej, Inglot zaprzecza twierdzeniom uczonych niemieckich, jakoby miasta polskie (także czeskie i węgierskie) powstały naskutek czarodziejskiej różdżki germańskiej; pod wpływem elementu niemieckiego miasta te przechodzą tylko w następne stadjum rozwoju, t. zn. z miast w sensie gospodarczym stają się miastami w sensie prawnym (prawo magdeburskie, norymberskie).

Niedość mocno przedstawione są ruchy społeczne w średniowieczu. Szczególnie brak podkreślenia gospodarczych skutków buntu chłopskiego w Anglji (1381 r.). Cunningham np. twierdzi, że od tego czasu następuje w Anglji masowa zamiana pól uprawnych na pastwiska, czyli przejście od gospodarki przedewszystkiem rolnej do hodowlanej. Zawiedzeni w swoich nadziejach, po nieudałem powstaniu, chłopi nie mieli zbytniej ochoty pracować na roli; powstała konieczność zamiany pól na pastwiska, paszenie bydła nie wymagało bowiem tylu rąk roboczych.

Praca Inglota nie ma charakteru źródłowego. Zasługą autora są bogate wykazy literatury we wszystkich językach na końcu każdego rozdziału.

Kazimierz Frankowski

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

FRAGMENT POWIEŚCI

Było to jeszcze przed ślubem Emmy. Wolk, który zawsze przychodził tylko ze złemi wiadomościami, odnalazł się w jej życiu po kilku latach nieobecności. Wszedł nie pukając. Emma leżała w łóżku.

— Nic się nie stało — powiedział.

Jej matka spała w sąsiednim pokoju.

— Mój brat! — powiedziała Emma. Zerwała się z łóżka w nocnej koszuli i zarzuciła palto na siebie. Już w palcie zakładała pantofle.

Przekradali się przejściami po podwórzach.

— Żołnierze nadjechali styłu — tłumaczył Wolk.

Trudno się było rozeznać w ciemnościach. Światła były pogaszone w domach. Od Łukowskiej szosy do śródmieścia trzeba było przejść najpierw przez ogrody Książka. Ziemia była rozmoknięta. Musieli iść brzegiem sadzawki, trochę wyższym od ogrodu. Wolk podtrzymywał Emmę za ramię. Gdy osuwała się z grobli prowadził ją za ręce.

— Jeszcze tylko tutaj — mówił co chwilę, i szedł naprzód.

I na Sekulskiej, niebrukowanej i rozjeżdżonej przez artyleryjskie jaszcze, było błoto. Znowu ogrodami doszli koło pustych domów i przez podwórza do Wspólnej ulicy. Tu było przejście bagniste między parkanami dwóch posesyj.

— Już niedaleko — powiedział Wolk, gdy stanęli w przejściu między ulicą Ogrodową i Piękną. Poszli w milczeniu dalej.

Spośród domów wyszła stara kobieta. Niosła wiadro w ręce. Wyprowadziła ich na właściwe przejście. Szła przed nim ostrożnie, trzymała się sztachet.

— Tu po nocy, choćby chciał — powiedziała — to nikogo nie znajdzie.

Milczeli.

— Może przed godziną zastrzelili jednego na ulicy — dodała, zatrzymując się i odpoczywając. — żeby zdążył do bramy, byłby żył.

Emma potykała się i chwytała Wolka za rękę.

— To już tędy pójdziecie prosto — powiedziała kobieta, gdy doprowadziła ich do wyrwy w parkanie. Postała z drugiej strony, aż przeszli.

— Idźcie prosto — słyszeli jej głos z ciemności, gdy przecisnęli się na drugą stronę.

Znowu szli między domami. Wolk naprzód, Emma o pół kroku za nim, trzymając się jego ręki. Przechodził tędy między parkanami brukowany rynsztok. Szli po jego pochyłości, uważając, by się nie ześlizgiwać. Tak weszli między kamienice i zatrzymali się w bramie.

— Chwilę poczekaj — powiedział Wolk.

Emma została sama. Słyszała jego kroki, skrzypienie drewnianych schodów i szepty. W kamienicy spano. We wszystkich mieszkaniach było ciemno. Tuż obok siebie usłyszała westchnienie. Przelękła się i krzyknęła imię Wolka. Uspokoiła się jednak, gdy zrozumiała, że było to westchnienie człowieka, śpiącego za ścianą. Okno było w bramie. Wymacała ostrożnie jego ramę.

— Wolk — szeptała, chcąc go przywołać lub zorjentować się przynajmniej, którędy poszedł.

Wrócił do niej. Cicho wziął ją za rękę i poprowadził po schodach. Szli, starając się nie stukać obuwiem. Na piętrze z uchylonych drzwi padało światło.

— To tutaj — powiedział Wolk.

Weszła za nim do oświetlonej kuchni, w której stało kilku ludzi. Drzwi do pokoju były otwarte. Rozstąpili się przed nią. Jej brat leżał tam w półmroku ułożony na podłodze i nakryty prześcieradłem.



JAN BRZOZA

POWIEŚĆ O ZIEMI

Nagroda Nobla za rok 1938 przypadła w udziale amerykańskiej pisarce Pearl S. Buck za cykl powieści o Chinach. Pearl S. Buck urodziła się w 1892 r. w farmie, niedaleko miasta Levisburg w stanie Wirginia. Była córką misjonarza prezbiterjańskiego w Chinach, gdzie spędziła całe dzieciństwo. Uniwersytet kończyła w Richmond na wydziale nauk politycznych. Przez pewien czas pracowała w ambasadzie amerykańskiej w Chinach jako sekretarka i tam właśnie zaczęła pisać pierwsze powieści.

Tyle mniejwięcej danych biograficznych udało się ustalić o tej pisarce. która zachowuje o sobie „splendid isolation“, nie udziela wywiadów ani informacyj o sobie i swojem życiu. Krąży o niej wiele plotek i wieści sprzecznych ze sobą i dlatego trudnych do sprawdzenia. Jej nazwisko Pearl Buck ma być pseudonimem literackim. Właściwie ma się ona nazywać Comfort Stone. Jej matka była z pochodzenia Francuzką i nie miała szczęśliwego pożycia. Podobno sama autorka była ongiś zakochana nieszczęśliwie i porzuciła ojczysty kraj, udając się do Chin. Porzuciła słoneczną Kalifornję dla Państwa Niebieskiego Smoka. Wszystkie te i inne wieści o pisarce wytworzyły jakąś legendę fantastyczną osnutą wokoło jej postaci — legendę, jaką może wytworzyć wścibska prasa amerykańska tam, gdzie spotyka przed sobą zamknięte drzwi i skromność.

Powieści Pearl Buck nie można rozpatrywać jako poszczególne dzieła o poszczególnych tytułach, stanowiące odrębną całość. Nie możnaby ich też nazwać powieścią cykliczną w rodzaju Galsworthy'ego. Wszystkie razem wzięte tworzą całość, której na imię Chiny. „Błogosławiona ziemia“, „Synowie“ i „Ludzie w rozterce“ tworzą jakby trzon kompozycyjny, przedstawiający w trzech pokoleniach przebudzenie się Chin z wielowiekowego snu. Pomiędzy te trzy powieści wpleciono inne jak: „Matka“, „Spowiedź Chinki“, „Nieugięte serce“ i „Pierwsza żona“, dające w przekroju Chiny wszystkich warstw społecznych, płci, zwyczajów i obyczajów tego niezbadanego i tajemniczego dla nas kraju. Wszystkie te powieści razem możnaby zatytułować **powieścią o ziemi**. Albowiem ziemia chińska jest główną bohaterką tego olbrzymiego dzieła.

Istnieje wiele powieści o ziemi i jej ludziach. Oto widzimy Borynę, gospodarza, dobywającego z ziemi czarny, pachnący chleb. Oto Izak na chmurnej północy w świetle zorzy polarnej, wdzierający się cal po calu, niby korzeń chciwej kosodrzewiny w ożywczy miąższ gleby; oto Kaleb Gane, borykający się zaciekle z upartą tajemnicą ziemi, lub Matwij, chłop wołyński, wydzierający pniaki nadludzkim wysiłkiem mięśni. Ziemia wszędzie jest jednaka. Wszędzie przywiązuje do siebie człowieka ciężkim łańcuchem pracy i obowiązku. Ale najokrutniejsza jest ziemia chińska. Ziemia chińska jest stara. żeby mogła rodzić, wymaga od człowieka wysiłku ciężkiego, wymaga opieki, równającej się pieczołowitości jak nad tworem żywym, bliskim — krewnym nieomal. Od jej łagodnych wzgórz, pokrytych niezmiennem opalowem niebem, nie wolno ani na chwilę opuścić badawczego, pełnego troski wzroku. Może dlatego czarne, chińskie oczy tak blisko są osadzone pod brwiami i może dlatego oczy te otoczone nabrzmiałemi powiekami patrzą tak badawczo w świat. Muszą rozpoznać, czy z wiosną szmaragdowe, tkwiące w błękitnej wodzie kłosy ryżu wytrzymają nadchodzący okrutny czas posuchy, kiedy ziemia pękać zacznie od skwaru i zamieni się w straszliwą pustynię, na której czeka śmierć. Wszystkie zmysły człowieka ziemi chińskiej muszą być wytężone. Uszy wsłuchują się w daleki grzmot nadciągającej z północnej pustyni burzy, która w mgnieniu oka zasypie lotnym piaskiem całe zbiory, lub czy nie słychać huku nadbiegającej szybko powodzi, a czasem nadsłuchują jak szumi złowrogo chmara szarańczy. A może wiatr idący od wąskich zagonów żółtej soji, zamiast upajającej woni kwiatów, przyniesie przykry odór tajemniczej zarazy roślinnej, która zniszczy wszystko co znajduje się na polach. Ziemia chińska jest stara, jak starzy chińscy rodzice; kapryśna, wymagająca troskliwości, opieki, wzamian nie dająca prawie nic. Stawia człowiekowi wymagania. Przywiązuje do siebie jakąś przedziwną siłą, która więzi, jak w żelaznych kleszczach. W jej zmiennym krajobrazie tkwi tragizm, który można nazwać tragizmem ziemi. Na małych kwadratach chińskich pól spoczywają od wieków szczątki niezliczonych pokoleń ludzi, którzy na tych polach pracowali, uprawiali je i tam legli, jak jakaś przeolbrzymia danina, złożona ziemi. Na chińskich polach stoją malutkie, gliniane kapliczki, w których mieszkają gliniane bogi, ubrane w jaskrawe czerwono-niebiesko-żółte szaty z bibułki, która często blaknie, jak wszystko, o czem się zapomina. Na chińskich polach jest czasem pięknie, pięknością niesamowitych barw i woni. Na wiosnę pochylają się nad ziemią rzadkie białe brzozy, śpiewając srebrzystemi liśćmi. Z grusz sypią się białe i różowe płatki kwiecia, a tu i ówdzie kwitną granaty w płomiennym przepychu szkarłatnego listowia. Jesienią trawa bronzowieje, ścieżki polne kraśnieją krzakami purpurowych astrów i drobnych, żółtych chryzantem, a ścierniska ryżowe przybierają barwę miedzi. Z tych barw, woni, ż charakteru krajobrazu ziemi chińskiej wynika jedno: jest ona bezbronna. Ten kraj zaludniony niezliczonem mrowiem istot ludzkich jest bezbronny jak żaden kraj na świecie. Po bezkresnych równinach, w których niema lasu, tego jedynego naturalnego schroniska przed ludźmi i przyrodą, płyną rzeki, które z wąskich potoków przemieniają się nagle w morza o milczącej potędze zniszczenia i śmierci. Chińskie góry są złomami nagich kamieni, na których żadne życie utrzymać się nie może. Przez Chiny przeciągały od wieków chmary najeźdźców, gorszych od powodzi, burzy i szarańczy. I może dlatego zbudowano ów mur graniczny, niczego nie broniący, a wzniesiony jak pomnik — protest bezbronności.

Powieści o ziemi przybyła jeszcze jedna postać: Wang Lung znad Niebieskiej Rzeki, mieszający swój pot słony z czerwonym lössem i błotem ryżowych pól. Jego praca jest bohaterstwem najwyższem. Jego życie hartuje się niczem stal szlachetna w warunkach tak ciężkich, jak ciężkie musi być kiełkowanie nasienia ryżu w zmęczonej ziemi. Mimo wszystko Wang Lung dorabia się majątku. Cel — jedyny cel w życiu Chińczyka, a więc synowie jego będą już bogaczami i sprawią mu pogrzeb jaki przystało na głowę rodu. Jego żony, synowie i synowie synów w lnianych białych szatach żałobnych odprowadzą go na jego pole w trumnie, którą za życia się tak cieszył. Niczem cesarza w nowych szatach śmiertelnych, które za życia przymierzał. Przyjdą też i kapłani, których śpiewy towarzyszyć będą drodze jego duszy na tamten świat i wynajęte płaczki i tragarze w czerwonych i żółtych ubraniach, niosących rzeczy potrzebne dla niego na tamtym świecie, a więc dwa domy z papieru i trzciny, napełnione sprzętami, służbą, lektyką, koniem. Na przedzie nieść będą lektykę z podobizną duszy, wykonaną przez artystę malarza. A potem spalą przed bożkami ziemi laseczki kadzidła na polu, które uprawiał. Odtąd duch jego, jak wszystkie duchy przodków, czuwać będzie nad ziemią, która jedynym celem jest w drodze każdego człowieka.

Synowie Wang Lunga są już bogaczami. Oto Wang-Dziedzic, gnuśny, leniwy tłuścioch, unikający ziemi, a jednak przykuty do niej. Oto drugi syn Wang-Kupiec, chytry zbieracz srebra, którego napozór nic nie obchodzi ziemia. Cóż go obchodzi niebo zwiastujące pogodę lub deszcze. Zbiera tylko procenty lichwiarskie. Ale srebro pochodzi z ziemi i pracy na niej. A ziemia stawia ciężkie wymagania. Rzekłbyś: tkwią w niej jakieś tajemnicze moce, które zmuszają człowieka do ciężkiej pracy. Raz wypada czas siewów i trzeba koniecznie wyjść w pole, obliczyć zysk lub straty, jakie może dać. To znowu czas nawożenia, albo żniw, kiedy człowiek praży się w słońcu, mieszając swój pot słony z ziemią czerwoną. Wtedy trzeba pracować także i Wangowi-Dziedzicowi i Wangowi-Kupcowi, równie ciężko, jak zwykłemu chłopu.

Oto trzeci syn Wang-Tygrys, który zbiera wojsko i zostaje generałem, władcą prowincji. Przez ziemię chińską przeciągają watahy żołnierskie, tratując ją i niszcząc wszystko, co z niej się rodzi i co stanowi istotę życia na niej. Ziemia ugina się pod stopami maszerujących oddziałów. Ziemia płacze, a wraz z nią płacze człowiek. Bo ziemia, to przecież krew i ciało jego.

Syn Wanga-Tygrysa, Wang Yuan, ma zostać następcą ojca i poprowadzi w bój armję zniedołężniałego ojca i odniesie zwycięstwo, którego tamtemu nie było dane odnieść. Marzył bowiem stary generał o zdobyciu całej połaci kraju i zostaniu władcą niepodzielnym, jak to jest we zwyczaju w Chinach. Ale syn jest wnukiem chłopa, spoczywającego w ziemi. Jej zew woła go przemożnym głosem. Nie lubi wojennego rzemiosła, jak nie lubi go żaden chłop, kupiec, czy rzemieślnik chiński. Wang Yuan pisze wiersze, króciutkie, subtelne wiersze, wypisywane pędzelkiem na odwrotnej stronie wachlarzy i na bielonych ścianach izb. Ale nie są to zwykłe wiersze chińskie, opiewające bohaterskie czyny dawnych wojowników, zwyciężających samotrzeć całe armje wrogów, demony i niebieskie smoki. Wang Yuan pisze o liściach jesiennych, spadających w wodę, o młodych wierzbach, pochylonych nad sadzawką, o brzoskwiniowych drzewkach, kwitnących w mlecznych oparach wiosennej mgły, o ciemnych, tłustych skibach zaoranego pola. Wang Yuan nie przyłącza się duchowo do żadnej z wielu rewolucyj, wstrząsających jego krajem. Musi jednak uchodzić do dalekiej Ameryki, jako podejrzany o współudział w ruchu odrodzeniowym Chin. Wang Yuan jest innym rewolucjonistą. Jego badawczy wzrok skierowany jest w ziemię. Jak jego dziadek Wang-Gospodarz troszczył się o ziemię i znosił jej wszystko, co potrzebowała; jak zrywał się jeszcze przed świtem i zbierał nawóz nie tylko z własnego podwórka, ale wędrował do miasta i stamtąd dźwigał ciężkie wiadra, pełne odpadków — tak wnuk mozoli się nad książkami, by wydrzeć im mądrą tajemnicę białych ludzi, u których ziemia rodzi lekko. Uzyskuje dyplom naukowy agronoma i odtąd pójdzie na ratunek ziemi swojej ojczyzny. Chinom idzie na ratunek nie tylko armja zapaleńców uzbrojonych w cudzoziemską broń, ale armja pracowników, niosących na ramionach motyki, a w głowach plany nowej uprawy ziemi. Na czele tej drugiej armji pójdzie Wang Yuan przy boku żony Meilin, lekarki, którą jako dziecko sprzedali czy porzucili nieznani rodzice w czas klęski głodu. Meilin nie zginęła, jak wiele miljonów dzieci, ofiar odwiecznych klęsk starej ziemi chińskiej, ale wychowała się i ukończyła wysoką cudzoziemską szkołę lekarską. Meilin pójdzie też na ratunek. Czy nie była ofiarą ziemi? Może śmiało stąpać po niej, gdyż nie ma zniekształconych stóp. Może walczyć z zabobonem, brudem, krzywdą miljonów kobiet chińskich. Stanie się to jednak dzięki temu, którego mogiła leży wśród pól, a na którego tabliczce wyryte są dziwacznemi znakami wymowne słowa: „Wang Lung, którego bogactwa doczesne pochodziły z ziemi“...

NIE CHCEMY SIĘ WYGŁUPIAĆ!..

W jednym z teatrów warszawskich wystawiono błahą komedyjkę „Week End“, angielskiego autora — Noëla Coward'a. Komedyjkę, ilustrującą nieciekawe perypetje wewnętrzne bogatej rodziny mieszczańskiej, oceniła krytyka — jak należało — chłodno i pobłażliwie. Jedynym wyjątkiem wśród zdawkowych opinij sprawozdawców zabrzmiał entuzjastyczny niemal głos p. Ireny Krzywickiej, która w bardzo przeciętnej sztuczce teatralnej doszukała się całkiem niezwykłych i nieoczekiwanych walorów. Osobliwa recenzja p. Krzywickiej, zamieszczona — co nie bez zdziwienia podkreślić należy — na łamach socjalistycznego dziennika — zasługuje na uwagę i omówienie, jest bowiem symptomatyczną wypowiedzią i prawdziwie cennem wyznaniem co do spraw, wybiegających daleko poza obręb komedjowej „problematyki“ Coward'a.

Chodzi o to, że p. Krzywicka rozsypała w swem pochwalnem sprawozdaniu całe mnóstwo aforyzmów i refleksyj, streszczających niejako pewien rodzaj... filozofji życiowej. Czytamy więc o bohaterach „Week End'u“ takie uwagi i opinje: „Rodzina ta... ma dużo wdzięku, przyjemną dziwaczność, **umiejętność wygłupiania się, która jest jednym z największych uroków życia** (podkr. moje) i niemal dziecięce dążenie za swemi popędami, w sumie zabawną oryginalność, która stwarza z tego wnętrza bardzo cygańskiego osobliwe i przyjemne zjawisko“... „Matka **zbogaca ich życie zawsze czynnem kabotyństwem,** a może czemś więcej jeszcze: **nieustanną fikcją,** przeżywaniem nieistniejących sytuacyj, wyciąganiem melodramatycznych wniosków z błahych zdarzeń“... I wreszcie, po omówieniu powikłań, których przedmiotem są osoby komedji, taka konkluzja: **„Z tego miłego bzika grających osób bije przyjemna świeżość“.**

Zarówno z treści, jak z tonu recenzji p. Krzywickiej wynika nieodparcie, że cytaty powyższe nie są bynajmniej jakimś persyflażem czy też manifestacją ironiczną, lecz — przeciwnie — powinny być traktowane serjo, jako wyraz poglądów i dyspozycyj autorki. I dlatego właśnie trzeba było zająć się tą sprawą.

Dźwignięcie „wygłupiania się“ na poziom „jednego z największych uroków życia“, reklamowanie „kabotyństwa“ jako czynnika „zbogacania życia“ i — wreszcie — zachwalanie „miłych bzików“ jako źródła „przyjemnej świeżości“ — nie są to sprawy przypadkowe i nieznane w naszej aktualnej rzeczywistości, choć przyznać trzeba, że tego rodzaju recepty i wskazania pod piórem autorki, atakowanej nieraz za śmiałe i postępowe w intencji wystąpienia publicystyczne, budzić muszą uczucia i myśli niezwykle... mieszane.

Nie kwestjonując zresztą dobrego prawa p. Krzywickiej do wyznawania takich czy innych poglądów, choćby miały one prowadzić do gloryfikacji „wygłupiania się“ i „kabotyństwa“, wypada jednak zwrócić uwagę, że tego „wygłupiania się“, tego „kabotyństwa“ i tych „miłych (albo i mniej miłych) bzików“ mamy już na obszarach pisarstwa polskiego **stanowczo dość,** mimo, że czas po temu jest — naszem zdaniem — całkiem nieodpowiedni. Ubolewać głęboko należy, że zasady sformułowane ostatnio w tak oszołamiający sposób przez p. Krzywicką, znajdują — i bez tej propagandy — wyraz zbyt częsty i dosadny. W prasie naszej od **abc** do **z**, pomijając nieliczne wyjątki, coraz więcej jest „wygłupiania się“ na wszelkie możliwe i niemożliwe tematy, coraz więcej „kabotyństwa“ w obrębie zagadnień, które jak najmniej nadają się do uprawiania tego rodzaju procederu. Ba! „wygłupianie się“ i najrozmaitsze „miłe bziki“ wtargnęły już nawet do środowisk literackich, czego dowodem poronione płody pro-faszystowskich tęsknot p. Ferdynanda Goetla, albo słynne „dzieło“ p. Karola Zbyszewskiego, który — zasiadłszy „w promieniu klozetu“ (przepraszam czytelników za ten **autentyczny** zwrot) czemś bardzo niepachnącem nasmarował konterfekt poczciwego Niemcewicza. „Wygłupiania się“ — powtarzam — mamy stanowczo dość — toteż źle czyni pani Krzywicka, dolewając oliwy do ognia, który w tym wypadku nie oczyszcza, lecz — przeciwnie — wytwarza tylko kłęby gryzącego dymu i swędu. Zapewne, takie dymne zasłony dogodne są dla niektórych w pewnych momentach i okolicznościach, gdy jasnem i nieprzyćmionem okiem możnaby widzieć... za dużo. Pani Krzywickiej nie chcę i nie mogę posądzać o zamiary świadomie perfidne. Ale z objektywnego punktu widzenia jej pochwały „wygłupiania się“ — może z podświadomych pokładów płynące — są bezwzględnie szkodliwe i nie na miejscu.

*

Historycy i badacze obyczajów społecznych notowali niejednokrotnie, że w okresach przełomów i katastrof polityczno-socjalnych t. zw. wyższe sfery, w swym stanie posiadania zagrożone, zanurzały się bezpamiętnie w wir uciech, zabaw, wszelkiego rodzaju „kabotyństwa“ i „wygłupiania się“. W tej postawie jest gest desperacji, połączonej z chęcią ucieczki od rzeczywistości, z pragnieniem zapamiętania się w spienionych nurtach osobistej i prywatnej — czysto zewnętrznej — satysfakcji. Stąd właśnie wywodzą swój ród najrozmaitsze „bziki“, mające być źródłem mdłej i krótkotrwałej „świeżości“...

Karol Marx w swej „Wojnie domowej we Francji“ tak opisuje „Paryż Thiersa“, przeciwstawiając mu bohaterski Paryż komunardów: „Paryż Thiersa był Paryżem szulerów, Paryżem bohaterów i bohaterek bulwarowych, bogatym, kapitalistycznym, pozłacanym, próżniaczym Paryżem. Ten Paryż teraz ze swymi lokajami, oszustami, cyganerją literacką i kokotami tłoczył się w Wersalu, Saint-Dènis, Rueil i Saint-Germain, dla niego wojna domowa była tylko przyjemnem intermedjum. Przyglądał się on walce przez lunety, klął się na swój honor i na honor swych prostytutek, że widowisko jest bez porównania lepiej aranżowane, niż w teatrze „Porte Saint-Martin“... A kiedy zwycięskie „narodowe“ wojska wersalczyków zdławiły już powstanie, mszcząc się bestjalsko na komunardach, korespondent jednego z dzienników londyńskich — cytuje Marx — pisał: „W oddali rozlegają się jeszcze pojedyncze wystrzały, a ranni, pozostawieni bez pomocy konają wśród grobowców Père La Chaise; 6000 przerażonych powstańców w rozpaczliwej, śmiertelnej walce błąka się w labiryntach katakumb; po ulicach pędzą jeszcze nieszczęśliwych, aby ich masowo rozstrzelać z mitraljez. Oburzające jest, gdy w takiej chwili widzi się kawiarnie wypełnione ludźmi, którzy piją absynt, grają w bilard i domino, gdy ladacznice włóczą się po bulwarach, a hałaśliwy zgiełk hulanek w osobnych gabinetach eleganckich restauracyj zakłóca ciszę nocną“...

W Paryżu 1871 r., w Paryżu Thiers'a, nie brak było, jak widzimy, amatorów „wygłupiania się“, którzy podnosili je do rangi „jednego z największych uroków życia“, aby tym mirażem odgrodzić się od groźnej, pełnej niespodzianek fali wydarzeń. Daremny trud, daremne usiłowania!...

*

W dobie, gdy narody, kraje i ludzkość cała żyją w trwożnem napięciu przed atakiem ciemnych i szalonych, światoburczych potęg, życiowe systemy „wygłupiania się“ i „kabotyństwa“ my — ludzie cywilizacji — odłożyć musimy do lamusa i zamknąć na cztery spusty. Karnawał bo skończył się dawno — i to w najogólniejszem tego słowa znaczeniu. Kto chce skutecznie stawić czoło nadciągającym nawałnicom, ten musi mieć rozum trzeźwy, mocne mięśnie i serce nieulękłe. „Wygłupianie się“ nie prowadzi do siły, do odważnych decyzyj, do zwycięstwa. **Więc nie chcemy się wygłupiać i wygłupiać się — za niczyją radą — nie będziemy.**

Andrzej Lubicz

* * *

W poprzednim (66) numerze „Sygnałów“ z dnia 1 kwietnia: **Franciszek Gil:** Bezdroża uniwersyteckie. — **Bolesław Dudziński:** O seksualizmie wśród dzieci i młodzieży. — **S. J. Leysin:** Dialektyka czy ortodoksja? — **Paweł Hulka-Laskowski:** W chwili dziejowej. — **Józef Wittlin:** Fragment z dramatu „Barabasz“. — **Ludwika Obrowiczówna:** Rzeczywistość nad Sekwaną. — **Leon Kruczkowski:** „Śpiew kogutów“. — **Marjan Czuchnowski:** Świeży repertuar. — **Jerzy Karolczak:** Ewolucja folwarku pańszczyźnianego. — **Jan N. Miller:** Liryka Broniewskiego. — **Roman Kupczynśkyj** (przełożył **Tadeusz Bocheński**): Rżyska. Gościna. — **Tadeusz Bocheński:** Dziś. — **Jerzy Putrament:** Wśród nowych powieści. — **Leon Strakun:** Artyści lwowscy w I. P. S.-ie. — **Leonid Fokszański:** Lirykom. — **Wacław Rogowicz:** Sprostowanie. — **Stefan Tudor:** Rzeczy nagrodzone. — Dmowski o sobie. — **Andrzej Drozd:** Sprawy społeczne. — Korespondencja (**St. R. Dobrowolski, Wiktor Bastrzyk, Stanisław Bularz-Felekczyński**). — **Karol Baraniecki:** Weksel (rys.). — Oblicze dnia. — 6 ilustracyj. — 10 stron.

WROGOWIE i PRZYJACIELE LUDZI

Ten sam pisarz, co powiedział: „**Człowiek, to rzecz święta, której nikomu krzywdzić nie wolno**“, wyraził kiedyś opinję, że lekarz i nauczyciel są fundamentami siły Polski. Lekarz i nauczyciel, a więc ci, którzy mają tego człowieka kształtować umysłowo i fizycznie, dbać o jego ducha i ciało: Jasną jest rzeczą, że właśnie oni krzywdzić człowieka nie mogą; muszą mu dać wszystko, czego od nich oczekuje. Im zaś tego dostarczyć musi społeczeństwo, samorząd, państwo wreszcie. Może nawet nie „wreszcie“, ale „przedewszystkiem“ państwo, gdyż realizować zasadę „obywatel dla państwa“ można tylko drogą „państwo dla obywatela“. „**Państwo buduje się pracą, a broni krwią**“. Pracy nie da analfabeta, a krwi anemik. Truizmem już — lecz wreszcie słusznym — jest zdanie, że państwo we własnym, dobrze zrozumianym interesie zapewnić musi obywatelom powszechną opiekę lekarską i powszechne nauczanie.

Wielki tom „Pamiętników lekarzy“[1]) i książeczka Mieczysława Pesty[2]) są aktem oskarżenia dzisiejszych warunków higjenicznych proletarjatu wiejskiego i miejskiego oraz warunków pracy lekarza. Znamy już podobne oskarżenia. Rzucał je młody lekarz, niejaki Judym, lekarz niedoświadczony, który chciał być bohaterem. Judym bohaterem nie został, mimo wszystko miał dobre warunki pracy i płacy. Jedenastu doktorów oprowadzających nas po potwornej „ziemi nieznanej“ życia polskiego lekarza nie chce być bohaterami. Chcą szczęścia innych, ale domagają się i swego. A nie chcąc — stają się bohaterami mimowoli, spowodu warunków, w jakich pracują.

Wygodny czytelnik wertując tę lekarską literaturę wędruje jakby przez piekielne kręgi, z których każdy jest dokładną ilustracją cyfr „Rocznika statystycznego“, wskazujących, że w 1935 r. mieliśmy 3,7 lekarzy na 10 tysięcy ludności, gdy Węgrzy mieli ich — 10,5, a rozległe Z. S. R. R. — 5,0, ba! nawet egzotyczna — dla nas — Bułgarja ma ich 4,5. Lekarz może obsłużyć wielu chorych, lecz łóżko szpitalne może gościć równocześnie tylko jednego; na 10.000 mieszkańców posiadamy 21,1 łóżek szpitalnych (dwa lata temu), w Australji tych łóżek było w r. 1934 — 83,0.

Dorzućmy uwagę, że lekarz ubezpieczalni musi obsłużyć około 60 pacjentów dziennie, a więc przy 15 godzinach dziennej pracy, może poświęcić jednemu pacjentowi kwadrans, i to nie uwzględniając poprawki, że do wielu trzeba dojść lub dojechać.

Któż korzysta z ubezpieczalni? Przedewszystkiem proletarjat, niżsi urzędnicy. Choroby wynikają naogół ze stanu higjenicznego, ten zaś zależy w prostym stosunsunku od wysokości zarobków. Lekarze w „Pamiętnikach“ ciągle, aż do znudzenia, opisują wypadki, że do lekarza przychodzi się w ostatniej chwili, gdy często chorego już nie można uratować; że chory dogorywa, bo brak 3 złotych na kolej na przewiezienie do szpitala. Dla tej sfery ludzi ubezpieczalnia jest dobrodziejstwem; nic to, że przychodzą z błahemi skargami, tem łatwiej wychwytać rzeczywistych chorych. Na ubezpieczalnie rzucają gromy sami lekarze, ci „wolnopraktykujący“. Są to ludzie zapóźnieni w społecznym rozwoju — nie zauważyli zmian struktury społeczeństwa, nie zauważyli, że t. zw. „górne dziesięć tysięcy“ kurczy się coraz bardziej. A nie widząc tego, krzywdzą człowieka, wbrew słowom pisarza, którego dzieła oprawne w półskórek tkwią w ich gabinetach. Czynią to za parawanem hasła, że zaufanie ma się do lekarza, którego się wybrało. Niewątpliwie jest to słuszne, ale czy lepiej być leczonym przez lekarza narzuconego i być wyleczonym, mimo że się do niego nie ma zaufania, czy nie być leczonym wcale, a więc często zwyczajnie umrzeć — nie mając na opłacenie lekarza „wolnopraktykującego“. Takim właśnie jazgotem ludzi zmierzchającej epoki przywitały pewne sfery lekarskie „Pamiętniki“.

Lekarzy mamy za mało. Około 450 absolwentów opuszcza rocznie wydziały medyczne uniwersytetów. Jest to cyfra bardzo mała, jeżeli jeszcze wziąć pod uwagę liczbę — nieobjętą statystyką — ilu lekarzy rocznie ubywa spośród praktykujących. Zdawałoby się, że rozbudowanie instytucyj kształcących lekarzy jest bezwzględnie słuszne. Tymczasem na wieść o mającej powstać w Łodzi akademji medycznej — przechodząc do porządku dziennego nad potrzebami państwa, ulegając łatwo dość przyziemnemu interesowi osobistemu, zawodowemu oraz racjom politycznym — młodzi medycy zgrupowani w akademickich kołach medyków, ogłaszają aż strajk protestacyjny, motywując... rzekomo niższym poziomem naukowym takiej akademji. Stanowisko oportunistyczne, antypaństwowe i antyspołeczne.[3]) Takich właśnie zaślepieńców należy trzeźwić surową prawdą „Pamiętników lekarzy“.

Tak! Młodzi adepci stanu lekarskiego powinni czytać te pamiętniki, czytać bardzo uważnie. Wyczytają z nich jasno, że lekarz jest apostołem, że powinien być altruistą. Gdyby sobie dobrze tę prawdę uświadomili, to możeby nie demonstrowali bezmyślnie przeciw ustawie o dwuletnim stage'u lekarza na wsi. Z ustawy tej zrobiono fragment politycznej walki. Ustawa nie jest doskonała; będzie niepełna, dopóki młodego lekarza nie wesprze cały aparat szpitalno-sanitarny, dopóki nie doprowadzi się do tego stanu rzeczy, by operacje połogowe nie odbywały się w chatach przy świeczkach, trzymanych przez wiejskie babki i narzędziami wykąpanemi w saganie, by „gabinet“ doktorski nie wyglądał, jak ten w „Piaskach“:

„**Okna gołe, dół szyb zalepiony gazetami, w rogu przeciwległym mały piecyk żelazny, od którego szły blaszane rury przez cały pokój do komina. Jakieś stare krzesło ginekologiczne, umywalka, stół, podłoga czarna. Wilgoć na odrapanej ścianie przy piecyku. Wziął (lekarz — przyp. mój) jakieś szczypce — tak, ginekologiczne szczypce, i kładł niemi kawałki węgla do piecyka, na którego dnie żarzyły się pewnie jeszcze resztki ognia**“.

By ludzie nie odchodzili od szpitala, w którym niema łóżek. Ustawa może być zmieniona lub dopełniona. Może lepsze rezultaty dałoby np. założenie specjalnej akademji medycznej dla synów chłopskich. Ale sam fakt powstania takiej ustawy, sama jej idea — jest zdrowa i słuszna. Można ją krytykować, lepiej wspierać radą — nie wolno jej zwalczać. Bo to już równa się zbrodni popełnionej na człowieku.

O zbrodni daleko gorszej, bo już dokonanej, myślimy uparcie przy lekturze pamiętników. Chodzi o zniesienie ubezpieczeń dla robotników rolnych. Stało to się naskutek akcji Związku Ziemian, którzy bardzo żałowali składek, wpłacanych do ubezpieczalni. W rezultacie, obecnie wzywa się lekarza do pacjenta w ostatniem stadjum choroby, i to często właściciel nie przysyła jakiegoś pojazdu po doktora, nic dziwnego, że ten nie zawsze przybywa na czas. Robotnicy rolni, których praca jest częstokroć o wiele cięższa, niż praca robotników w mieście, a z reguły gorzej płatna — są pozbawieni zupełnie pomocy lekarskiej. Jeżeli ponadto weźmiemy pod uwagę, że na wsi i w mniejszych miasteczkach jeden lekarz obsługuje 5 tysięcy mieszkańców — możemy łatwo znaleźć przyczynę zmniejszającego się z roku na rok odsetka młodzieży wiejskiej zdolnej do służby wojskowej. Oczywiście, objęcie wsi przez organizację ubezpieczeń społecznych zmieniłoby ten stan radykalnie.

Dwie powyższe książki udowadniają swe ostre oskarżenie, że misja lekarzy w Polsce nie jest należycie poparta przez państwo. Winę uważamy — po lekturze pamiętników i zestawieniu ich z działem „Zdrowotność publiczna“ „Małego rocznika statystycznego“ — za udowodnioną. Czynniki państwowe wiele mogą same zrobić. Nie zdołają jednak zrobić wszystkiego, dopóki będzie w społeczeństwie panowało przekonanie, że kwestje zdrowia publicznego można wyzyskiwać do partyjnych rozgrywek, dopóki pracodawcom żal będzie składek, wpłacanych za pracujących do ubezpieczalni, dopóki instytucja społeczna i jej lekarze będą traktowani pogardliwie, niechętnie, dopóki będą tematami żarcików w kabarecie czy w gazetce. Miast oddawać szpalty kpinom z tej instytucji, trzeba je poświęcić zarówno gorącej propagandzie idei ubezpieczeniowej, jak i rzeczowej krytyce tych błędów i usterek, które są w ubezpieczalni niewątpliwie.

Oby „Pamiętniki lekarzy“ i „Piaski“ przyczyniły się do tego choć w drobnej części.

Czytając lekarskie pamiętniki trzeba sobie dobrze zdawać sprawę, że stan higjeniczny i zdrowotny proletarjatu jest funkcją ustroju społecznego. Dobrze jest naprawiać fragmenty tego ustroju, lecz trzeba pamiętać, że to nie jest usuwanie choroby. Jest to tylko chwilowe zaleczanie ran, bardziej ropiejących. To jest jednak mało. Słusznie zauważa jeden z pamiętnikarzy, pisząc o ludności wiejskiej:

„**...niema u nas systemu, któryby ogarnął całokształt naszego życia, w miejsce tego usiłuje się korygować życie takie, jakie jest, a właściwie jego drobne fragmenty. Fragmenty te są nieraz bardzo drobne. Ludność wiejska odnosi się z obojętnością do reform na tych drobnych odcinkach, jakby wyczuwając, że hierarchja zagadnień została przez kogoś źle ułożona i że ci, którzy chcą życie reformować, przeszli mimo zagadnień wielkich, a zaczęli od małego. Te dysproporcje zapewne sprowadziły falę zobojętnienia, jaka daje się obserwować na wsi dla wszystkich reform idących zgóry. Ludność wiejska prawdopodobnie nie może zrozumieć, dlaczego, jeżeli ktoś chce jej pomóc, widzi tylko przysłowiową muchę, nie dostrzegając słonia. Dlatego też wsi polskiej nie można jakoś obudzić**“.

To samo dotyczy proletarjatu miejskiego. I całej ludności. O tem należy zawsze pamiętać. Zapomnienie może być przykre w skutkach.

Kazimierz Koźniewski

---

[1]) **Pamiętniki lekarzy.** Warszawa, Zakład Ubezpieczeń Społecznych, 1939; str. 682.

[2]) **Mieczysław Pesta. Piaski.** Pamiętnik lekarza społecznego. Warszawa, „Rój“, 1939; str. 158 i 2 nl.

[3]) Spowodu braku funduszów rząd postanowił nie zakładać akademji medycznej w Łodzi. Szkoda, na wiele innych rzeczy pieniądze są, na to niema. Decyzja ta nie zmienia jednak w niczem oceny moralnej protestu młodych medyków.

PAMIĘTNIKI LEKARZY

Ukazała się niedawno książka p. t. „Pamiętniki lekarzy“ zawierająca kilka wyróżnionych prac, nadesłanych na konkurs ogłoszony przez Ubezpieczalnię Społeczną. Najlepszy z pamiętników jest dr. Z. Karasiówny. Krótki, zwięzły, oszczędny w słowach. Jest w tym pamiętniku jakaś wielka prostota i spokój. Jest w nim coś — co czyni tę książkę bliską nam i drogą.

Trudno inżynierowi mówić o budowie domu, furmanowi — o powożeniu, lekarzowi — o medycynie. Tak poprostu, w zwykłych słowach streścić proces chorobowy, leczenie, komplikacje i rokowania. Tak, by zrozumiał nie tylko lekarz, ale każdy. Dr. Z. Karasiówny pamiętnik — to jakby nowy, lekarski Remarque.

Jest więc pacjent, pacjent prywatny i ubezpieczony, jest brak środków lekarskich, ich cena wysoka, jest brak analiz pomocniczych, Roentgena, brak dróg po których możnaby szybko przyjechać do chorego lub go odwieźć do szpitala, jest nędza, brud, niechęć ludzka i ciemne mroki średniowiecznego zabobonu. Migawki. Egzotyczny dodatek Pata, który krwawi, boli, zmusza do uwagi i napięcia nerwów, do walki i do ofiarności. I zmusza do podziwu. Że jednak taki lekarz na polskiej wsi niesie pomoc — mimo braku dojazdu, warunków, pieniędzy, szpitali, pielęgniarek, nieuświadomienia ludności, mimo nawet niechęci doń ludzi i braku zaufania. Nie opuszcza rąk, nie rozpacza. I to żaden święty. Za życia jest mu gorzej niż każdemu. Nie doje, nie śpi, wciąż w ruchu, wciąż balansuje między ludzkiem życiem a śmiercią, nie zarobi wiele, otoczony ogólną niechęcią, nawet po śmierci nie będzie beatyfikowany. Ot może tylko wtedy odpocznie sobie, odpocznie za wszystkie przeharowane lata, nieprzespane noce...

Każdy rozdział — to materjał do powieści. Każdy rozdział — to przeżycie. A przecież właśnie z takich rozdziałów składa się codzienne życie lekarza. To jego chleb powszedni. Ale on nie umie, aż do śmierci, doń przywyknąć, buntuje się wciąż i wciąż tak samo boli go niepotrzebna śmierć człowieka, jak w początkach praktyki.

*

To nie przypadek, że większość socjologów dawnej Rosji była lekarzami, lub co najmniej studjowała nauki przyrodnicze. To nie przypadek, że wśród Pierwszej Brygady najliczniejszą grupę inteligencji stanowili lekarze. Nie można oddzielić medycyny od warunków społecznych, nie można jej oddzielić od człowieka. Utarło się błędne przekonanie, że lekarze to klan zamknięty, że lekarze to ludzie ograniczeni tylko do swego zawodu. Lekarz prócz tego, że dąży całe życie, aby być naprawdę dobrym lekarzem, musi być także psychologiem, socjologiem, człowiekiem, który serce swe nie w piersi, lecz na ręku nieść powinien, by wciąż i wciąż jednako na ból, cierpienie i łzy ludzi krwawiło, człowiekiem, który nigdy zasad demokracji zdradzić nie może. Niema dlań chorych „bliskich“ i „dalekich“. Niema dlań chorych „żydów“ i „katolików“, „starostów“ i „chłopów“. Są tylko ludzie, ludzie cierpiący.

Lekarz społecznik dawniej a dziś. Dawniej składki, czasem praca w „Kropli Mleka“ lub „Przytułku dla niezamożnych położnic“ — dziś jest to poprostu lekarz Ubezpieczalni Społecznej, gdzieś na głuchej polskiej czy białoruskiej wsi. Równie daleko od kultury, cywilizacji, od szpitali, laboratorjów, zakładów pasteurowskich i Roentgena, jakby był gdzieś w Afryce. Prawdziwa, niesfałszowana egzotyka. I lekarz ten nie tylko boryka się z brakiem warunków do leczenia, z brakiem uświadomienia ludności, z nędzą, ale też i własnemi trudnościami materjalnemi.

„Praktyka prywatna na wsi daje lekarzowi zerowe możliwości. Tragiczne jest, że z tego zera lekarz żyć musi. Musi sprzedawać wartości fikcyjne chłopu, który nie ma na chleb. Istotne zaspokajanie potrzeb chorego równałoby się pracy deficytowej poprzez walkę z warunkami i pacjentem. Dlatego po krótkim czasie każdy lekarz przestaje walczyć. Schodzi na drogę pracy fikcyjnej i przekształca się w znachora. W wypadkach krańcowych wyrasta najłatwiej na podłożu warunków praktyki prowincjonalnej typ lekarza-szarlatana“.

W szpitalach, po miastach i miasteczkach do 10% lekarzy ma stałe pensje, reszta (90%!) pracuje darmo. Są strajki tramwajarzy, hutników, szoferów, ale gdyby ogłoszono choćby przez kilka godzin strajk lekarzy pracujących darmo — stanęłyby wszystkie szpitale, zakłady i pracownie w całej Polsce. Nienormalny stan rzeczy. A Izby Lekarskie określiły minimum zarobku dla lekarza na 1000 zł... By mógł mieć gabinet i poczekalnię, instrumenty i mikroskop, pisma lekarskie i książki naukowe, by mógł choć raz na rok jechać do jakiegoś miasta uniwersyteckiego na dokształcanie się.

„Za 3 złote lekarz musi powiedzieć X-owi co mu jest, choćby nawet sam nie wiedział. Bo gdyby mu nie powiedział, X by więcej do niego nie poszedł. Najlepiej kiedy mówi: oberwanie, przeziębienie lub przelęk. Co to szkodzi, że takie choroby nie istnieją? Bo chłop innych rozpoznań nie uznaje. A lekarz, który zwalcza przesądy, traci zaufanie chorych, traci praktykę. Gdy skierowuje do szpitala, też nic niewart. Powinien sam ślepą kiszkę wyleczyć. Dostał przecie 3 złote“.

„Zdarza się, że chłop znajdzie dla dziecka 5 zł., a nawet i 10 zł. i bardzo chętnie zapłaci. W jednym tylko wypadku. Za zwolnienie dziecka od szkoły. Za świadectwo choroby“.

Ciężkie brzemię musi nieść lekarz na polskiej wsi. I kwestja wciąż paląca zbyt małej liczby „ubezpieczonych“ i „prywatnych“, lekarzy „kasowych“ i „dobrych“ (czytaj — nie należących do Ubezpieczalni Społecznej).

Niedawno zniesiono ubezpieczenie fornali, gajowych i robotników leśnych. Płacą tylko 10% — resztę pracodawca:

„Fornal ma byt zapewniony. Mieszkanie, zboże, ziemniaki, mleko. Jeszcze zarabia 8 zł. miesięcznie: na tłuszcz do ziemniaków, na ubranie. Dla siebie i dla rodziny. Stać go na chorobę do wysokości 80 zł. według 10% przepisów. Nie musi jeść z omastą, nie musi się ubrać. Dlatego od 4-ech lat jest dobrze. Po zniesieniu ubezpieczenia podniósł się stan zdrowotny pracowników rolnych... O wiele mniej chorują. ¼ tego co przedtem. Im kto mniej zarabia, tem rzadziej i krócej choruje. Jeszczeby się pan zarządca obraził i pracę wypowiedział“.

Inna jest kategorja „ubezpieczonych“. Często przychodzą niepotrzebnie, nudzą, męczą, żądają lekarstw dla krów i proszków od pluskiew.

„Pani S. ma brzuch ściśnięty brudną szmatą. To musi być. Żeby się nie „otrzęsła“ albo „nie oberwała“. Mozoli się długo z węzełkami szmaty. Rozwiązała. Spod szmaty wyskoczyła na mnie duża pchła. Właścicielka pchły siada na stopniu pod krzesłem ginekologicznem. „Tu dogóry mam wyjść — krzyczy — o rety! i tu nogi położyć! żebym była wiedziała, tobym nigdy nie przyszła“. Wyjaśniam jej, że macicy przez gardło badać nie umiem i układam ją na krześle przemocą, bo broni się jak lew. W tej walce otrzymuję kilka kopniaków. Widzę, że jeszcze naiwna i nieuświadomiona. Matka 6-ga dzieci“.

„Jest pewien subjekt ze sklepu bławatnego. Elegancki, dystyngowany. Czeka 2½ godz. na swoją kolejkę: „Plecy mnie swędzą“ — skarży się boleśnie. Niech się pan podrapie — odpowiadam zużywając ostatnią porcję cierpliwości“.

Ale ubezpieczeni jednak przychodzą. I przychodzą jeszcze żywi, nie jak „prywatni“ — tam prędzej już księdza, niż lekarza potrzeba. I to że widzi się ciężarną, a nie konającą rodzącą wynagradza wszystkich natrętów, histeryków, delikatnych i t. d.

A na Nowej Zelandji już prawie wszyscy mieszkańcy są ubezpieczeni i prawie wszyscy lekarze są „kasowi“. Ale przecież u nas to nie Nowa Zelandja. My jesteśmy w Europie...

Niestety, lekarz często ma też do czynienia i z moralnością:

„Poradnia dla dzieci? O, to coś podejrzanego! I wszyscy zgodnie zadrżeli o zagrożoną moralność. Wreszcie przychodzi do mnie oficjalnie przedstawicielka moralistów. I zadaje mi uprzejme pytania: Czy w poradni dla dzieci nie będą się działy rzeczy sprzeczne z etyką katolicką? Ma na myśli przerywanie ciąży. „Łaskawa pani — odpowiadam. W pytaniu pani tkwi mały lecz zasadniczy błąd; do stacji opieki nad dzieckiem zgłaszają się dzieci już urodzone, a częściowo nawet nieco podchowane. Czy pani sądzi, że te dzieci potrafiłabym jeszcze wyskrobać?“ Pytanie zadała mi osoba z inteligencji“.

Najtrudniej lekarzowi pisać „popularnie“ o fizjologji, patologji, czy innych dziedzinach wiedzy lekarskiej. Dr. Z. Karasiówna pokonała i tę trudność.

„Kobieta jest na to, żeby rodziła dzieci. W tym celu ma macicę. W macicy rośnie płód. Przez te dziewięć miesięcy płód musi się dobrze odżywiać. Do tego celu ma łożysko — miejsce, w którem jajo płodowe przyrasta do jamy macicy. Pod koniec ciąży łożysko jest jak duży talerz. Przez łożysko płynie do dziecka odżywcza krew matki. Nie jest przewidziane ustawą, w którem miejscu jajo płodowe ma przyróść do ściany macicy. Ma wolny wybór. Według przyjętych zwyczajów przyczepia się zwykle wysoko“...

„Dziecko przed urodzeniem pływa w wodach płodowych. Pod koniec ciąży obraca się głową wdół. Gdy się inaczej ułoży jest źle. Ale najczęściej ciężar głowy robi swoje. Głowa przoduje. W ostatnich tygodniach ciąży wisi nad wchodem do macicy. Tam wejdzie, gdy poród się rozpocznie, gdy bóle otworzą ujście maciczne. Wie o tem. Czeka w pogotowiu“.

*

Ukazała się przed dwoma miesiącami książka Haliny Górskiej „Ucieczki“. Ucieczki ludzi przed rzeczywistością. Ucieczki w krainę dzieciństwa, niespełnionych marzeń, ucieczki pod sztandary totalistyczne, pod opiekę „wodza“, ucieczki w krainę wiary...

I czyż nie jest ucieczką — ucieczką przed rzeczywistością — sen dr. Karasiówny o zorganizowanej pomocy lekarskiej przy porodach na wsi...?

Jednak i rzeczywistość ma swe dobre strony:

„Jak to dobrze, że istnieją choroby. Nie tylko dlatego, że lekarz z nich żyje. Dlatego, że może też zachorować“.

Jan Żuk

WŚRÓD POETÓW

Światopełk Karpiński: Poemat o Warszawie. Warszawa, J. Mortkowicz, 1938; str. 44.

— Ozdobnie wydany „Poemat o Warszawie“ Światopełka Karpińskiego miał jak to wynika z lirycznych wynurzeń autora nawiązujących do gatunku t. zw. pseudoklasycznego poematu Trembeckiego „zamknąć obraz stolicy w obrazach tysiącu“. Gdyby autor stawiając przed sobą tego rodzaju cel, dokładnie uświadomił sobie istotne właściwości tego gatunku literackiego, być może próba t. zw. klasycyzowania okazałaby się pożyteczną i wartościową, boć przecież niesłuszny jest sąd przeróżnych historyków literatury obniżających wartości poetyckie z okresu przed wystąpieniem Mickiewicza. Poeci tego rodzaju co Trembecki, Osiński i Koźmian nie byli tylko naśladowcami obcych wzorów, a ich dążenie do znalezienia swoistego wyrazu poetyckiego kazało im bardzo ostrożnie i często z wielką wnikliwością i intuicją posługiwać się „chwytami“ poetyckiemi. Niestety, Karpiński pseudoklasycyzm zrozumiał nazbyt pobieżnie, upraszczając sobie tem samem znakomicie pracę. Nawiązywanie do tradycji literackiej stało się w tym wypadku podglądaniem obcych, dawno już zresztą przebrzmiałych zdobyczy poetyckich, co przyczyniło się jedynie do wyrobienia zręczności rzemieślniczej nie mającej nic wspólnego z artyzmem.

Poważnie nastrojeni klasycy unikali jak ognia dowcipasków i tanich kalamburów. Humor, jeżeli już był, to stawał się elementem poetyckim. Karpiński nowoczesne miasto skrzętnie ubiera w staromodną suknię, łatając kalamburami w rodzaju:

„Na nich kostki kominów rozrzucone [sino,
Ażeby kominiarze grywali w domino“.

lub dowcipami:

„Przerwie ubrany czarno pan, co się [ukłoni
i spyta: W którem uchu miasta [właśnie dzwoni?“

Opis Warszawy pozbawiony szczerej obserwacji, przeładowany efektami kabaretowemi, nieodczuty, oderwany w gruncie rzeczy od jakiegokolwiekbądź podłoża staje się jałowy, nawet wówczas, kiedy poeta jest wirtuozem formy. Dokonawszy małych zmian, np. nazw ulic, autor mógłby poemat ten przypisać każdemu innemu miastu. Do nieznajomości Warszawy, do nieznajomości materjału, który ma opisać przyznaje się zresztą sam autor:

„I taka jest stolica, którą czytasz co [dnia,
Jak pobieżną lekturę śpiesznego [przechodnia“.

Tysiąc wierszy nawet najbardziej zgrabnie rymowanych nie tworzy jeszcze poezji.

Bazyli Podmajstrowicz. Ogród poezji. Równe, 1938; str. 80.

„Ogród poezji“ jest typowym debjutem prowincjonalnego poety, który mieszka oddawna w mieścinie oddalonej od głównych ognisk kulturalnych. Autor nie zrozumiał jeszcze i nie odczuł wartości tych zdobyczy, jakie osiągnęła liryka polska w ciągu ostatnich lat. Nie wyczuwa wagi elementów poetyckich, któremi posługuje się, i jak dotąd nie zindywidualizował swego widzenia poetyckiego. Wskutek tego różnorakie wpływy są aż nazbyt widoczne. „Młoda Polska“ (w szczególności Staff), Jesienin, dalekie echa Tuwima, Majakowskiego i Przybosia tworzą niezbyt dobraną rodzinę. Ponadto razi brak surowej selekcji, jaką powinien był zastosować autor przed wydaniem książki. Wiersze wskazujące na uzdolnienia poetyckie, posiadające urok i świeżość debjutu toną w powodzi rozwodnionych, rozpoetycznionych utworów.

Juljusz Znaniecki. Ziarno z głębiny. Warszawa, „Bibljoteka Polska“, 1939; str. 62 i 2 nl.

Literatura marynistyczna w Polsce, mająca żywą i barwną tradycję, tworzy się stopniowo, pomału. Zdobycie dostępu do morza, zbudowanie własnego portu, własnej marynarki powinno było w młodem pokoleniu znaleźć swój bezpośredni wyraz. Nie jest to przecież nowe zagadnienie. Jakże pięknie potrafił Żeromski odczuć morze, docierając słowem swojem jakgdyby do nerwu, do serca wiatru i fal płynących z oddali. Następcy, w prozie i w poezji, nie potrafili osiągnąć jego poziomu, ani też wytworzyć szerszego prądu, któryby się szczególnie zajął tem zagadnieniem. Powieści i utwory poetyckie, napisane z większym lub mniejszym talentem, pozbawione są niestety własnego wyrazu i stylu. Piszą przeważnie ludzie z morzem bliżej nieobeznani, dla których temat ten jest równoznaczny z egzotyką. Częstokroć jest to chęć ucieczki przed miastem grożącem zagładą. Może pewną winę ponoszą te pisma, które tematyce tej chcą nadać jakiś urzędowy ton? Wiersze noszą często piętno utworów okolicznościowych, a więc przypadkowych. Może winę ponosi ta część młodego pokolenia, która nie zrozumiała jeszcze ciężaru tego zagadnienia? Nie chwalcy urzędowi, nie zwycięzcy konkursów, ale Jack London i Conrad Korzeniowski, marynarze z przekonania, którzy większą część życia swego spędzili na statkach, zżyli się z niemi, z morzem, stworzyli głęboko ludzkie, prawdziwie piękne utwory.

Nie wiem czy Juljusz Znaniecki jest marynarzem, nie wiem co łączy go z morzem, czy odbywał kiedy dalekie podróże, czy też z mola Gdyni starał się wczuć i zrozumieć wodne szeregi. Sądząc jednakże z wierszy, z ich tematyki, ze sposobu ujęcia tematu i niezbyt bogatego obrazowania poeta chciałby dopiero „życie swoje ucieleśnić morzem“. Wiersze te są religijne, patrjotyczne, żołnierskie, dużo w nich truizmów filozoficznych, przeładowania retoryką. Są to jakgdyby przemowy, pełne patosu, lub kazania o czasach tragicznych, które nadejdą. Katastrofizm, motyw smutku, wieczności i klęski połączony jest z romantyczną pozą. W utworach tych stosunkowo mało jest obserwacji, zadużo gestów. Morze jest groźne, tragiczne, to wieczność płynąca w szumie fal i w piasku, w którym drzemią umarłe stulecia. Potęgę morza poeta stara się wyrazić gromadząc cały szereg przymiotników, co oczywiście nie wywołuje pożądanego efektu. Wyczuwa się obcość, egzotyzm, brak jakgdyby bezpośredności obserwacji. Wszystko co się dzieje w jego utworach jest niecodzienne. Czyż człowiek, który zna morze, nie starałby się oddać także jego uśmiechu, spokoju, smaku i zapachu wiatrów? Może te wady wynikają ze słownictwa naszpikowanego często gęsto młodopolszczyźnianemi zwrotami w rodzaju „kruży“, „przepastne głębiny“; „ambona ciała“, „chwiejby“, „wróż“, „przędza mglistych wełn“ i in. W opisywanych przez niego marynarzach i rybakach nie wyczuwa się żywych ludzi, są to tylko symbole tragizmu i wieczności. Jakkolwiek wiersze te nie są pod względem poetyckim zbytnio pogłębione, są jednakże miejscami ciekawe i zajmujące n. p. „Wieczór nieodgadniony“, a przedewszystkiem wyczuwa się w nich przejęcie się tematem, co też należy przypisać jako zaletę tej książce. Jest to więc droga do poznania morza. Tego rodzaju temat wymaga własnej formy i własnego słownictwa i na nie właśnie powinien zdobyć się poeta.

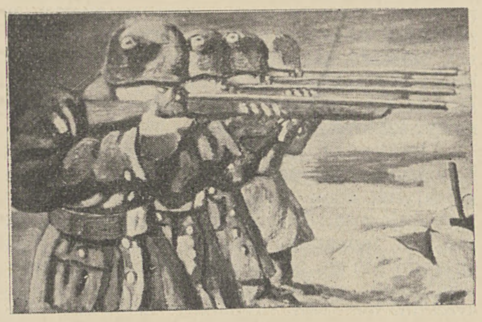
Jan Śpiewak

Z WYSTAW

Wystawa grupy żydowskich artystów ze Lwowa w Żyd. Tow. Krzew. Sztuki jest niewątpliwie jednym z najbardziej interesujących i pozytywnych pokazów w bieżącym sezonie artystycznym Warszawy. W przeciwieństwie do jałowej, beznamiętnej dłubaniny lwowskiego „Zespołu“ — „Grupa Lwowska“ reprezentuje malarstwo żywe, bujne, będące wyrazem szczerego przeżycia i najgłębszej potrzeby. Są oczywiście w „Grupie Lwowskiej“, jak w każdym luźnym zespole, malarze zaledwie początkujący, pretensjonalni debjutanci, bądź chroniczne miernoty, większość jednak „Grupy“, to artyści o zdecydowanych indywidualnościach, świadomi swych środków i możliwości, z których każdy zajmuje odrębną, samoistną postawę plastyczną. Najciekawszą pozycją wystawy jest malarstwo **Henryka Strenga.** Jest to malarstwo, powstałe z architektonicznych założeń Cezanne'a, zbogacone doświadczeniem kubistycznej konstrukcji i koloryzmu fauvistów (Matisse). Streng szczęśliwie przezwyciężył płynną i destrukcyjną paletę impresjonistyczną i z niewzruszoną logiką organizuje środki formalne w zwartą, jednolitą dyscyplinę malarską. Artysta osiąga sui generis klasyczną prostotę i epicki spokój dzięki zrównoważeniu różnorodnych, przenikających się form i kolorów, które podobnie jak fabularną przypadkowość otaczającego nas świata, zamyka w mocne ramy syntetycznej budowy obrazu. Nie są to już eksperymenty, lecz całkowicie dojrzałe i twórcze osiągnięcia, stwarzające oryginalny, nawskróś osobisty styl malarski. Od zdyscyplinowanej, przemyślanej w każdym calu, refleksyjnej sztuki Strenga odcinają się żywiołowe, niepokojące płótna **Otto Hahna,** który jeszcze nie wyzwolił się przynajmniej w niektórych pracach („Pejzaż jesienny“, „Lwów w deszczu“) z sugestji dawnej sztuki Vlaminka, Friesza, Deraina. Hahn, mimo pewnych surowizn koloru i brutalnych zestawień, wykazuje nieprzeciętną wrażliwość na barwę i wręcz pierwotną, niepohamowaną pasję malarską. Do najlepszych prac artysty zaliczam „Pejzaż“ (poza katalogiem) i „Pejzaż deszczowy“ o dynamicznej fakturze i jadowitej zieleni. Współczesna problematyka socjalna znalazła swój wyraz w „Ulicy“ i „Salwie“, w których artysta, jakgdyby naprzekór swym ekspresjonistycznym rozwichrzonym pracom, ujawnił poczucie konstrukcji, linearyzmu i formy. **Antonina Richterówna,** która zaprezentowała się na poprzedniej wystawie portretem „Hiszpanka“, wystawiła kilka pointilistycznych, śmiało skontrastowanych w barwie pejzaży, pomysłowo zróżniczkowany, wibrujący światłem portret „Chłopca z mandoliną“ i utrzymany w jednej, zasadniczej tonacji „Portret Pani X“. Spośród pozostałych eksponatów na szczególne wyróżnienie zasługują: oryginalne prace **Meira Stachla,** świadczące o dużej inteligencji i kulturze artysty, pejzaże **Elżbiety Begleiter,** pozostające niestety pod silnym i nienajlepszym wpływem malarskich kalkulacyj Władysława Lama, „Posiłek“ **Henryka Langermana** i niektóre prace **Ignacego Witza.**



Antonina Richterówna: Portret



Otto Hahn: Salwa



Henryk Streng: Posiłek

Leon Strakun

Teatry warszawskie

Hamlet dzieli los wielu arcydzieł literatury: uważany jest za utwór genjalny, do którego autor zapomniał dodać klucz. Coś tam się „nie zgadza“; i wciąż szukamy ukrytej sprężynki, która odrazu wszystko wytłumaczy i Szekspira wreszcie zrehabilituje. Coraz inny inscenizator przystawia więc doń swoją koncepcję: może to kobieta? może kompleks Edypa? Ale każda z nich leży jak ulał w jednem miejscu, a odstaje w innych; i zagadka „jak grać Hamleta“ wciąż pozostaje nierozwiązana.

Czy istotnie jednak szukać trzeba tego klucza tak daleko i w tym właśnie kierunku? Hamlet — to przedewszystkiem poezja; nagromadzenie naboju poetyckiego tak potężne i olbrzymie, jakiego w żadnym bodaj innym dramacie Szekspira nie znaleźć. Oddanie tej poezji, uchwycenie każdego tonu, wydobycie każdej myśli — to jedyne zadanie scenicznej interpretacji, co wcale nie znaczy, by zadanie to było wykonalne; by w warunkach zbiorowego widowiska, w tempie narzuconem przez ograniczony czas przedstawienia, w rozproszeniu uwagi na jednoczesną percepcję wzrokową i słuchową uchwycenie całej tej poezji było możliwe. W każdym razie dążenie do osiągnięcia takiego właśnie efektu nakazywałoby zgoła inny układ sceniczny widowiska: wymagałoby nie tylko usunięcia rywalizacji aktora z tekstem, przesunięcia wszystkich pauz i t. d., lecz zmiany całej osi krystalizacyjnej dramatu.

Błędem bowiem tej osi, na której dziś się Hamleta buduje, jest właśnie owo dążenie do rehabilitacji Szekspira przez szukanie kluczy charakterologicznych „integralnych“. Tymczasem, jeśli sławimy Szekspira jako odkrywcę charakterów ludzkich, jeśli twierdzimy słusznie, że przerósł nie tylko swoje, lecz wiele jeszcze późniejszych pokoleń, nie wolno przecie zapominać o tem, że teatr jego mimo wszystko pozostaje teatrem epoki elżbietańskiej. „Niekonsekwencje“ z punktu widzenia dzisiejszego smaku tkwią przecież nie tylko w charakterze samego Hamleta; wystarczy wskazać ostatnią scenę, w której ginie król, królowa, Hamlet i Laertes, scenę całkowicie tkwiącą w konsekwencjach elżbietańskiego teatru i dla nas zupełnie niestrawną, by zrozumieć, jak dalece Szekspir związany jest ze swoją epoką.

Otóż, jeśli teatr szekspirowski istotnie odkrył człowieka — nie znaczy to wcale, by widział go tak, jak my go dziś widzimy. W tej epoce prawa psychologiczne nie ulegają jeszcze tak surowym konwencjom; tak jak Szekspir obchodzi się z geografją, lokując Polskę na pograniczu Danji i Norwegji, — tak jego współcześni obchodzili się z człowiekiem w teatrze. Szekspir ten szablon przełamał i w tem jego chwała; ale nie wynika stąd, by trzeba było ukrywać przed światem, że nie odkrył nowoczesnej psychologji. W rzeczywistości żaden bodaj z bohaterów szekspirowskich nie jest tak skomplikowaną strukturą psychologiczną, jak tego chcą komentatorzy Hamleta; każdy zbudowany jest na jakiejś jednej dominancie, płynącej z najbardziej podstawowych namiętności ludzkich. Na takiej też dominancie zbudowany jest Hamlet. Ale, choć zapewne postawa jego we współczesnym widzu bliższe budziła reakcje niż dzisiaj — nie jest to wcale, w dzisiejszem pojęciu, jednolita konstrukcja charakterologiczna, lecz raczej jakby warjacje muzyczne, oparte na jednym motywie. Dlatego Hamlet wcale nie powinien być „jednolity“, jeśli nie ma ze swej poezji nic zgubić po drodze.

Inscenizacja Węgierki idzie również tym tropem. Porzuca on tradycyjną koncepcję Hamleta jako człowieka o porażonej refleksją woli, i daje równie jednolitą, a więc równie błędną koncepcję zgorzkniałego intelektualisty; mówiąc wulgarnie, zamiast dawnego „chce, ale nie może“ — „może, ale nie chce“. Możnaby było, wbrew dowodom z tekstu, bronić i takiej koncepcji, gdyby istniały poszlaki, że taka postawa wobec życia jest postawą samego Szekspira; ale zarówno z Szekspirem, jak i z całą epoką kłóci się ona jeszcze bardziej (choć może dzisiejszemu widzowi jest bliższa). Co gorsza, cała ta inscenizacja ma charakter wyjaśniającego i podkreślającego, a w gruncie rzeczy pospolitującego komentarza; grubą linją zaznacza to, co jest z umysłu niedopowiedziane, z lekko markowanego szaleństwa Hamleta robi poprostu „struganie warjata“, Polonjusza degraduje na skończonego kpa, fałszywym chyba i zbędnym komentarzem opatruje scenę „Idź do klasztoru“.

Ocenę nowego przekładu Iwaszkiewicza trzebaby przeprowadzać z tekstami w ręku; w każdym razie, jeśli wydobywa ona niepochwycone u nas dotychczas akcenty, z drugiej strony zdradza niekiedy tendencje do „uwspółcześnienia“ języka, które trudno byłoby obronić.

Jerzy Pański

KORESPONDENCJA

PRZECIW DEFETYZMOWI

Do redaktora „Sygnałów“

W nr. 66 „Sygnałów“ znalazł się artykuł Pawła Hulki-Laskowskiego p. t. „W chwili dziejowej“. Pozwolę sobie zwrócić uwagę na dwa jego urywki, nasuwające bardzo poważne zastrzeżenia. Autor pisze:

„...Z jakąż radością podchwytano słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych albo toasty królewsko-prezydenckie podczas pobytu królewskiej pary angielskiej w Paryżu! I te, i wiele, wiele innych słów, nie miały żadnego realnego pokrycia“.

Nieprawda. Nie wolno w jednym wierszu wymieniać deklaracyj Roosevelta i toastów królewsko-prezydenckich. Za słowami prezydenta Stanów stoją czyny. Wprowadzenie przez „treasury“ amerykańską ceł odwetowych na towary niemieckie jest najpotężniejszym ciosem, jaki kiedykolwiek hitleryzm otrzymał. Antymonachijska postawa Roosevelta jest zupełnie szczera. Imperjalizm hitlerowski zagraża bowiem nader poważnie Ameryce, zwłaszcza Południowej, natomiast lęk przed ewentualnemi „czerwonemi“ sukcesami „Führera“ (na wypadek klęski nazich) nie może zachmurzyć pogodnego oblicza prezydenta: od proletarjackiego widma w sercu Europy dzieli go przecież ocean!

Autor pisze dalej:

„...Karabin maszynowy jest tylko dodatkiem do zdecydowanej woli walki o życie i wolność. A takiej woli niema ani w Anglji, ani we Francji. Z iluzjonizmem trzeba skończyć, bo jest szkodliwy. Jesteśmy sami za siebie odpowiedzialni i tylko na siebie liczyć możemy“.

Nieprawda. Powinniśmy liczyć **przedewszystkiem** na siebie, ale nie **wyłącznie** na siebie. Hulka-Laskowski **znieważył** dwa wielkie narody: zidentyfikował Francuzów i Anglików z Bonnetami i Chamberlainami. Nie ufamy ani na jotę najbardziej nawet grzmiącym deklamacjom i deklaracjom Chamberlainów. Ale ufamy, że w błyskawicznym biegu wypadków nadejdzie moment, gdy huragan ludowego oburzenia i gniewu zmiecie kapitulantów z powierzchni Francji i Anglji. Będzie to dla nas najwspanialsze wsparcie w nadchodzącej walce o niepodległość Polski.

Artykuł Hulki-Laskowskiego jest wyrazem rozgoryczenia, które graniczy z rozpaczą niemal. Nic dziwnego. Po tragedjach: mandżurskiej, abisyńskiej, austrjackiej, czeskiej i hiszpańskiej, w obliczu dramatów: chińskiego, litewskiego i rumuńskiego — niełatwo o „słowo optymizmu“. Łatwiej o defetyzm. I gdyby nie fakt, że artykuł Hulki-Laskowskiego wypłynął z najczystszego źródła troski o los kraju, a termin „defetyzm“ jest teraz tak cynicznie nadużywany przez oficjalnie — radosne brukowce — powinniśmy zarzucić znakomitemu pisarzowi zajęcie defetystycznego stanowiska. Oczywiście, bywa optymizm gorszy od defetyzmu.

Do istotnych, optymistycznych iluzyj zaliczyć n. p. należy twierdzenie niektórych dzienników, jakoby Chamberlain dał w swej rozgłośnej deklaracji gwarancje dla **granic** Polski. Najgrubszej z ryb monachijskich ani się śniło o podobnie „szaleńczym“ kroku. Wyjaśnił to definitywnie półoficjalny „Times“, którego rolę przed pierwszym rozbiorem Czechosłowacji aż nadto dobrze pamiętamy.

Jakiż jest ostateczny wniosek z tych wywodów? Taki, że Polska powinna liczyć w swej obronie niepodległości na światowy obóz antymonachijski. Można rozmaicie oceniać siły tego obozu, ale nie można negować jego istnienia. Tak samo, jak nie można negować, że właśnie antymonachijczycy mają oparcie w masach ludowych, a nie mężowie zaufania Imperial Chemical czy Lazard Frères. Ku zdumieniu różnych sceptyków może się też pewnego dnia okazać, że w masach tych (także francuskich i angielskich) jest wystarczająco wiele woli walki o życie i wolność.

Zygmunt Jarosz (Warszawa)

SZLAKIEM STUDNICKIEGO

Do redaktora „Sygnałów“

W artykule „Stare sztandary i nowe czasy“ („Sygnały“, nr. 62) Jerzy Boreisza polemizując z J. N. Millerem traktuje cum bona fide jego półfaszystowskie wynurzenia, jako bądźcobądź pewne odkrywcze lub conajmniej nowe zjawisko. Tymczasem ewolucja, jakiej ulega J. N. Miller jest starym szlakiem wszystkich nacjonalistów i odstępców od socjalizmu. Ewolucję taką aż do szczegółów jednakową przeszedł m. in. już kiedyś Władysław Studnicki, czego wyrazem była jego książka „Od socjalizmu do nacjonalizmu“ i polemika w „Przedświcie“ (1899 r.). Argumenty Studnickiego przypominają aż do złudzenia obecne wyznanie wiary J. N. Millera, jakkolwiek cechuje je właściwa Studnickiemu szczerość, bezpośredniość i erudycja. Częściowo przedrukował je Studnicki w swej książce „Z przeżyć i walk“ (Warszawa, 1928). Czytamy tam na str. 50—52:

„Gdy mój oponent dowodził, że spowodu stanowiska burżuazji i inteligencji rosyjskiej nie można wysnuwać wniosku o stanowisku proletarjatu rosyjskiego do sprawy polskiej, odpowiedziałem między innemi: „w dobie panowania kierunku sentymentalnego w literaturze uważano pastuszka za wcielenie wszelkich cnót, obecnie socjaliści przenieśli ów pogląd na robotnika“.

W artykułach mych twierdziłem: „międzynarodowość nie jest dogmatem moralnym ani jakiemś przykazaniem zewnętrznem, ale wypływa tylko z realnych potrzeb i realne warunki określają jej granice“.

„W interesie proletarjatu niemieckiego leży niedopuszczanie robotników z rosyjskiego i austrjackiego zaboru do państwa niemieckiego, to przyznali sami socjaliści niemieccy podczas debatów w parlamencie o ubezpieczeniu robotników. W interesie proletarjatu polskiego leży swobodne przesiedlanie się na całym obszarze ziem polskich. Czyż więc w pewnych punktach interesy proletarjatu polskiego i niemieckiego nie znajdują się w antagonizmie?“

„Proletarjat każdego kraju zainteresowany jest w rozwoju przemysłu swego kraju, a przemysł różnych krajów znajduje się często w antagonizmie, stąd więc i interesy proletarjatu różnych krajów w pewnych punktach znajdują się w antagonizmie“.

„Redaktor „Przedświtu“ (Leon Wasilewski) twierdzi, że niema sprzeczności interesów między proletarjatem polskim a rosyjskim. Znajduje się to w sprzeczności z faktami podanemi w „Białostoczaninie“ (ulotnem piśmie P. P. S. w Białymstoku) o ujemnym wpływie robotników rosyjskich na porządki fabryczne w Białymstoku. Sprowadzanie robotników do nas z Rosji bezwarunkowo nie leży w interesie naszego proletarjatu, ale nie sprzeciwia się interesom rosyjskiego“.

Artykuły owe — pisze Studnicki — wywołały wiele dyskusyj wśród młodzieży polskiej akademickiej zagranicą oraz w organizacji krajowej. Młodzież narodowa chętnie kupowała „Przedświt“, o ile numer zawierał mój artykuł. „Przegląd Wszechpolski“ zamieszczał o mych artykułach żywe wzmianki“.

Stanisław Baczyński (Warszawa)

*

W. J. Wilno. Dziękujemy serdecznie za życzenia.

Gnom. Lwów. Z artykułu „U źródeł nacjonalizmu polskiej młodzieży akademickiej“ nie skorzystamy.

St. R. Łódź. Artykułu „Kilka tez o dialektyce“ nie będziemy drukowali.

Dr. J. ż. Warszawa. Dziękujemy. Prosimy o dalszą pamięć.

M. S. St. Cyprien. Dziękujemy za pismo. „Sygnały“ wysyłamy. Zasyłamy serdeczne pozdrowienia dla wszystkich.

M. M. Warszawa. Niestety, z pracy nie możemy skorzystać. Jest zbyt specjalna i za obszerna.

A. P. Lwów. Jeszcze nie do druku, ale warto chyba pracować.

Z. H. Kraków. Z artykułu „Wiedza ścisła jako sztuka piękna“ nie skorzystamy.

J. P. Warszawa. Artykułu „Obowiązek zwycięstwa“ nie umieścimy. Dyskusji na ten temat nie będziemy prowadzili.

„Życie“. Wiersz nie do druku.

F. L. Warszawa. Z artykułu o Sz. Konarskim nie skorzystamy. Drukowaliśmy już prace Z. Jarosza.

OBLICZE DNIA

Niemcy — U. S. A. Z dniem 23 kwietnia b. r. wchodzą w życie specjalne 25-procentowe dopłaty na wszystkie — w praktyce — towary niemieckie, przywożone do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zarządzenie to będzie miało ogromne znaczenie gospodarcze i polityczne. Obrót niemiecko-amerykański był dotąd bardzo poważny. Przywóz surowców amerykańskich do Niemiec wciąż wzrastał. Według oficjalnych statystyk niemieckich przywóz surowców amerykańskich, wynoszący w 1937 r. 282 milj. RM wzrósł w 1938 r. do 404 milj. RM. Stany Zjednoczone były więc głównym dostawcą Rzeszy. Wywóz niemiecki do Stanów, który w 1937 r. wynosił 208 milj. RM., spadł w 1938 r. na 149 milj. RM Spadek wywozu niemieckiego do Stanów w 1939 r. był główną i decydującą przyczyną „ubiernienia się“ całego niemieckiego bilansu handlowego.

Z chwilą wprowadzenia t. zw. ceł karnych Niemcy będą musiały szukać dewiz, aby sfinansować przywóz surowców amerykańskich. Ale nie jest to rzecz łatwa.

Do bilansu wymiany amerykańsko-niemieckiej trzeba dodać obroty amerykańsko-czeskie. Jeszcze w 1937 r. saldo dodatnie Czechosłowacji wynosiło 24 milj. dolarów, przyczem wywóz przedstawiał się w kwocie 37 milj. dolarów, przywóz zaś 13 milj. dolarów. W 1938 r. wywóz czeski wynosił już tylko 26 milj. dolarów i mniejwięcej na tym poziomie znajdował się przywóz. Ale w jesieni tego roku mamy już Sudety.

Niemcy zdają sobie sprawę, jakie znaczenie będzie miało dla ich gospodarstwa nałożenie ceł „karnych“. Toteż niemieckie linje okrętowe wypożyczyły wiele angielskich okrętów, aby pospiesznie przewieźć do Stanów Zjednoczonych jak najwięcej towarów niemieckich, zanim nadejdzie dzień 23 kwietnia. Każda godzina jest dla Niemiec droga, tem bardziej, że niemiecki bilans handlowy staje się coraz bardziej ujemny. Bliska jest już katastrofa gospodarcza, dlatego panowie Trzeciej Rzeszy, aby uratować siebie i swoją władzę, szukają innego wyjścia.

Jeszcze o Dmowskim

Przeczytaliśmy już dokumenty („Dmowski o sobie“, „Sygnały“, nr. 66), jak to Roman Dmowski napisał entuzjastyczną recenzję ze swojej własnej powieści. Pod pseudonimem Kazimierza Wybranowskiego wydał powieść „Dziedzictwo“, a potem sam ją pochwalił w „Gazecie Warszawskiej“, głównym organie przez siebie stworzonego i kierowanego stronnictwa. Pochwała była podpisana pełnem, „prawdziwem“ nazwiskiem „wodza narodu polskiego“.

Dopiero po jego śmierci przyjaciele zaczęli pisać prawdę. Przedtem krążyły tylko pogłoski i plotki kawiarniane. Źródłem ich było przedewszystkiem dziwne zachowanie się prasy „narodowej“, która zbyt entuzjastycznie powitała obydwie powieści („W połowie drogi“ i „Dziedzictwo“ ukazały się w r. 1931) nikomu nieznanego autora. Wszyscy niemal krytycy „narodowi“ pisali ogromne, pełne zachwytów artykuły o nowym powieściopisarzu. Porównywano go z największymi twórcami literatury polskiej i światowej. Od hołdów, składanych Kazimierzowi Wybranowskiemu, nie uchylił się również sam Roman Dmowski. Drugą falę zachwytów mamy obecnie, po śmierci „serca i mózgu narodu polskiego“. Adam Grzymała-Siedlecki i Zygmunt Wasilewski, entuzjazmując się „Dziedzictwem“, dowodzą, że jego prawdziwym autorem jest Dmowski, że „Kazimierz Wybranowski“ to pseudonim twórcy endecji.

Ale ta nieprawdopodobna historja — pisanie pochwalnej recenzji z własnej książki — sięga dalej: odkrywamy nową tajemnicę.

W nr. 416—417 (gwiazdkowym z r. 1931) „Wiadomości Literackich“ znajduje się recenzja Leona Piwińskiego p. t. „Dwie powieści Wybranowskiego“. Piwiński omawia „W połowie drogi“ i „Dziedzictwo“ nagół bardzo przychylnie; nic w tem zresztą nadzwyczajnego. Ale oto w tekście recenzji jest umieszczona fotografja: starszy pan — wcale niepodobny do Dmowskiego — z książką w ręku. Podpis pod fotografją:

„Kazimierz Wybranowski, zdjęcie w ubraniu cywilnem przed dwunastu laty w Rosji“.

Przypatrujemy się zdumieni. A więc Kazimierz Wybranowski naprawdę żyje? Więc w r. 1919 był w Rosji i to w ubraniu cywilnem? Więc sprawa pseudonimu, to mistyfikacja? Więc jeszcze jedna intryga masońsko-bolszewicka? A może to przyjaciele usiłowali zaszkodzić pośmiertnej sławie Dmowskiego?

Niestety, prawda jest mniej zawiła. Zwróciliśmy się z zapytaniem do p. Mieczysława Grydzewskiego, redaktora „Wiadomości Literackich“. Pan redaktor Grydzewski odpowiedział listownie, że nie potrafi dać wyczerpujących informacyj. „Fotografję otrzymałem swego czasu od nieżyjącego dziś redaktora „Gazety Warszawskiej“ Olszewskiego. Potem ktoś mi powiedział, że to nie jest wcale autor powieści i że zostałem wprowadzony w błąd. Możliwe, że chodziło o to, aby odwrócić uwagę od krążących wówczas pogłosek, że Wybranowski, to Dmowski. Autorem tekstu pod fotografją był Olszewski. To wszystko“.

No, teraz to rozumiemy: zwyczajna granda, mówiąc po lwowsku. Zostali w nią wmieszani najwybitniejsi przedstawiciele endecji, wraz z jej twórcą i wodzem. Szkoda, że nie żyje ani Dmowski, ani Olszewski. Wyjaśniliby nam zapewne, dlaczego i poco zabrali się na stare lata do takiej brzydkiej roboty.

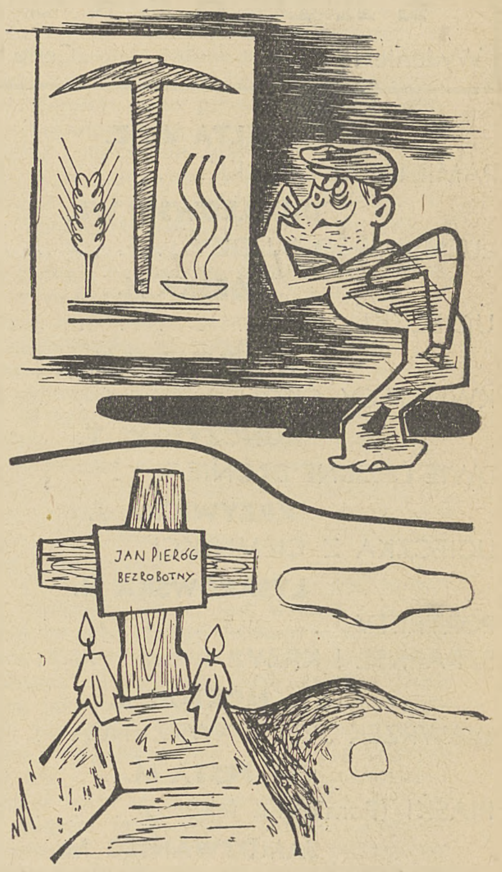
Czy będziemy się oburzać, rzucać gromy potępienia? Ach, nie, nie warto. Wiemy, że to niewiele się przyda. Wyznawcy „narodowi“ fakty te zatają, usprawiedliwią, wymażą — przed narodem stanie posąg bez skazy, charakter kryształowy, największy w dziejach Polak. Rodzą już nową legendę i nowy mit.

Przyjdą jednak ci, którzy zburzą je na zawsze.

Narazie — śmiejmy się. „Kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie“?

Rzeczywistość ...

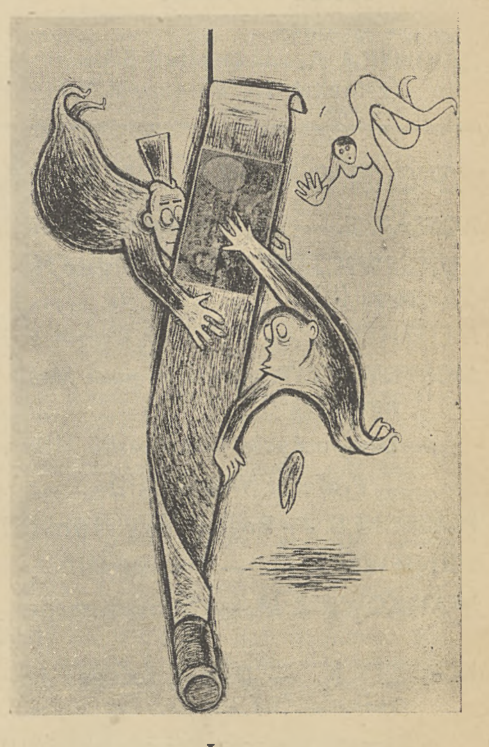
rys. K. Baraniecki



Historja w dwóch obrazach



Bułeczki gen. Franco



Lep

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK

Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6